

1933



DAVID WEBER
ERIC FLINT

DAVID WEBER ERIC

FLINT

1633

Część pierwsza

Ląd, który mam za sobą,

to nie kraj dla starca¹

Rozdział 1

–Cóż za urzekający widok! – wykrzyknął Richelieu. – Nigdy jeszcze nie widziałem kota o tak wyjątkowej urodzie. Umaszczenie jest wprost cudowne.

Arystokratyczna, intelektualna twarz rzeczywistego władcy Francji na moment pojaśniała młodzieńczym blaskiem. Przez kilka chwil Richelieu kompletnie nie zważał na Rebekę Stearns i bawił się malutkimi łapkami kota, który siedział na jego kolanach, a którego niewiele wcześniej Rebeka ofiarowała mu w charakterze podarunku dyplomatycznego.

Podniósł uśmiechniętą twarz.

–Nazwałaś go, pani, „kotem syjamskim”? Wydaje mi się niemożliwym, abyście zdołali w tak krótkim czasie nawiązać współpracę handlową z południowo-wschodnią Azją. Nawet zważywszy na wasz geniusz techniczny, zakrawałoby to na kolejny cud.

Rebeka zastanawiała się nad tym uśmiechem, równocześnie przygotowując odpowiedź. Przynajmniej jedna rzecz stała się dla niej jasna od czasu, gdy kilka minut wcześniej wprowadzono ją na prywatną audiencję u kardynała. Niezależnie od pozostałych cech, Richelieu wydawał się najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkała. A z całą pewnością najprzebieglejszym.

I dość ujmującym, czego się nie spodziewała. Połączenie niebywałego intelektu z wewnętrznym ciepłem i wdziękiem było rozbijające dla kogoś takiego jak Rebeka, która sama była intelektualistką.

Przypomniała sobie stanowczo o tym, że bycie rozbrojonym w obecności Richelieu to ostatnia rzecz, na jaką może sobie pozwolić. Mimo błyskotliwości i osobistego uroku kardynał bez wątpienia stanowił aktualnie największe zagrożenie dla jej narodu. I choć nie przypuszczała, żeby z natury był okrutny, już wcześniej pokazał, że w obronie tego, co zwykł określać „interesem narodu”, nie okazuje cienia litości. Zwrot *la gloire de France* brzmiał cudownie dźwięcznie – lecz krył w sobie ostrze wymierzone w tych, którzy staną mu na drodze.

Zdecydowała się uchwycić ostatnich słów kardynała.

– „Kolejny” cud? – zapytała, unosząc brew. – Ciekawe określenie, Wasza Eminencjo. O ile mnie pamięć nie zawodzi, ostatnio uznałeś, panie, Ognisty Krąg za „czary”.

Łagodny uśmiech Richelieu nie zmienił się ani na chwilę, odkąd znalazła się w jego prywatnej sali audiencyjnej.

– To nieporozumienie – rzekł zdecydowanie, machnąwszy lekceważąco dłonią. Przez chwilę podziwiał zwierzę uderzające łapką w jego długie palce. – Mój błąd, za który biorę pełną odpowiedzialność. Pochopne wysnuwanie wniosków, kiedy się ma jedynie poszlaki, zawsze jest błędem. Ja zaś, obawiam się, byłem wówczas chyba pod zbyt wielkim wpływem poglądów ojca Józefa. Zapewne poznałeś go, pani, wczoraj podczas audiencji u króla?

W tym zdaniu również kryło się podwójne znaczenie. Richelieu delikatnie przypominał Rebecę, że alternatywą dla rozmów z nim było układanie się z dość dziecinnym królem Ludwikiem XIII albo – co gorsza – z ojcem Józefem, fanatykiem religijnym. Kapucyn był bliskim znajomym kardynała, a poza tym stał na czele ortodoksyjnej świeckiej organizacji katolickiej, znanej jako Towarzystwo Świętego Sakramentu.

Rebeka zwalczyła naturalną pokusę każdego intelektualisty: pokusę mówienia. W tej kwestii, podobnie jak w wielu innych, została fachowo przeszkolona przez swego męża, który nie był aż takim intelektualistą. Mike Stearns pełnił niegdyś funkcję przewodniczącego związku zawodowego i – w przeciwieństwie do Rebeki – już dawno temu nauczył się, że często najlepszą strategią negocjacji jest zwykle milczenie.

– Niech druga strona gada – powtarzał jej. – W ogóle uważam, że z otwartą gębą dwa razy łatwiej coś schrzanić niż z zamkniętą.

Kardynał, rzecz jasna, był tego doskonale świadom. Milczenie przeciągało się.

Dla każdego intelektualisty milczenie jest grzechem śmiertelnym. Rebeka musiała więc ponownie zmusić się do trzymania języka za zębami.

Ratowała się, kierując myśli ku swemu małżonkowi: Mike, o twarzy nieco wymizerowanej i smutnej, żegnający ją w drzwiach ich domu w Grantville, gdy wyruszała w podróż dyplomatyczną do Francji i Holandii; ta sama twarz (to wspomnienie znacznie bardziej podniosło ją na duchu) wcześniejszej nocy, w ich łóżku.

W uśmiechu, który przywołało na jej twarz właśnie tamto wspomnienie, było coś, co pokonało kardynała. Oczywiście uśmiech Richelieu wciąż pozostawał niezmienny. Westchnął jednak głęboko i – delikatnie, lecz stanowczo – postawił kotka na posadzce, kończąc igraszki.

–Ów „Ognisty Krąg”, jak go nazywacie, który sprowadził do naszego świata tych „Amerykanów” wraz z ich cudaczną techniką, był czymś wystarczająco niezwykłym, by wszystkich nas wprowadzić w błąd, pani. Jednakże po głębszych rozważaniach, szczególnie popartych dowodami, na których mogłem się oprzeć, doszedłem do wniosku, że byłem w błędzie, określając to wasze... proszę wybaczyć moje określenie, dziwaczne nowe państwo wytworem „czarów”.

Richelieu umilkł na chwilę i wygładził swoje bogate szaty.

–Zaiste, to niewybaczalny błąd z mojej strony. Raz, gdy znalazłem chwilę, by przemyśleć tę sprawę, zdałem sobie sprawę, że niebezpiecznie zbliżyłem się do manicheizmu. – Zachichotał. – Ile to już czasu minęło, odkąd potępiono tę herezję? Półtora tysiąclecia, ha! A ja się uważam za kardynała!

Rebeka uznała, że może bezpiecznie zaśmiać się w odpowiedzi na ten żart. Na tym jednak koniec. Niemalże wyczuwała, jak przyciąga ją magnetyzująca osobowość kardynała, i ani przez chwilę nie wątpiła, że Richelieu doskonale zdaje sobie sprawę z siły własnego uroku. Kardynał był człowiekiem ze wszech miar cnotliwym, „uwodzenie” było jednak określeniem o kilku różnych znaczeniach. Wielokrotnie dochodzenie Richelieu do władzy i wpływów łagodzone było jego osobistym czarem i wdziękiem – a w przypadku innych intelektualistów także giętkością jego umysłu. Na dobrą sprawę gdyby Rebeka nie była wysłanniczką kraju toczącego wojnę z Richelieu, z miłą chęcią poświęciłaby kilka godzin jednemu z najwybitniejszych umysłów świata chrześcijańskiego, by podyskutować o teologicznych implikacjach owego dziwnego zdarzenia, które sprowadziło do siedemnastowiecznej Europy pełne ludzi miasteczko z miejsca odległego w czasie o kilka stuleci, a zwanego „Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej”.

„Zamilcz, kobieto! Bądź posłuszna mężowi!”.

Ta myśl tylko utrwałała jej pogodny uśmiech. Tak naprawdę Mike’owi Stearnsowi daleko było do patriarchy. Rebeka wiedziała, że rozbawiłaby go, opowiadając mu o tym, jak sama siebie strofowała. („Niech mnie kule biją. Chcesz powiedzieć, że chociaż raz mnie posłuchałaś?”).

Richelieu poniósł kolejną drobną porażkę. Widziała to w jego uśmiechu, który stał się jakby odrobinę wymuszony. Kardynał ponownie wygładził szaty, a następnie wznowił swą wypowiedź.

–Nie, jedynie Bóg mógł dokonać tak niebywalej zamiany czasu i przestrzeni. A wasz termin „Ognisty Krąg” wydaje się bardzo na miejscu. – Jego uśmiech stał się teraz niezwykle pogodny. – Jak zapewne zdajesz sobie, pani, sprawę, moi szpiedzy już od dawna badali te wasze „Stany Zjednoczone” w Turyngii. Kilku z nich przepytalo miejscowych, którzy byli świadkami tego wydarzenia. I ci prości chłopcy również

widzieli, jak niebiosa się rozwierają i aureola ognia pozbawionego żaru tworzy mały świat w niewielkiej części środkowych Niemiec.

–Mimo to – rzekł, unosząc gwałtownie dłoń, jakby chciał uprzędzić słowa Rebeki, choć ona wcale nie miała zamiaru się odzywać – sam fakt, że zdarzenie to było dziełem bożym, nie daje nam konkretnej odpowiedzi na pytanie o jego cel.

„Zaczyna się – pomyślała Rebeka. – Oficjalna linia postępowania”.

Zdawała sobie sprawę, że spotyka ją zaszczyt. Z rozmów, które prowadziła ubiegłego wieczora z dworzanami podczas audiencji u króla, jasno wynikało, że elita Francji wciąż szuka spójnego ideologicznego wytłumaczenia pojawienia się Grantville w niemieckim księstwie Turyngii. Po przetrwaniu dwóch lat (nie wspominając o rozgromieniu po drodze kilku nacierających armii, z których przynajmniej jedna była zwerbowana i opłacona przez Francję) Amerykanie wraz z nowo tworzonym przez siebie społeczeństwem nie mogli już być traktowani tylko jako pogłoska. Określenie „czary” było zaś... zbyt błahe.

Nie miała wątpliwości, że Richelieu skonstruował już wytłumaczenie i właśnie ona usłyszy je jako pierwsza.

–Czy zastanawiałaś się, pani, nad historią świata, który stworzył tych waszych Amerykanów? – zapytał. – Zapewne wiesz, pani, również, że pozyskałem – znowu machnął lekceważąco dłonią – różnymi sposobami część ksiąg historycznych, które wasi Amerykanie zabrali ze sobą. Przestudiowałem je wszystkie bardzo uważnie.

„To jest akurat jasne” – pomyślała Rebeka. Była to myśl nieco posępna, ponieważ jasne stało się dopiero teraz. Wcześniej ani ona, ani Mike, ani nikt z władz nowych Stanów Zjednoczonych nie pomyślał nawet, że zdobycie ksiąg do historii stanie się jednym z głównych celów obcego wywiadu. Literatura techniczna – owszem, plany, szkice – owszem; wszystko to, co pozwoliłoby wrogom Stanów Zjednoczonych ukraść część ich niebywalej technologii. Jednak... licealne podręczniki?

Teraz, rzecz jasna, było to oczywiste. Latem roku 1633 każdy władca i wpływowi polityk na świecie wiele by dał, żeby się dowiedzieć, co go czeka w najbliższych latach. Konsekwencje tej wiedzy mogłyby być prawdziwie nieobliczalne. Jeżeli król wie, co nastąpi za rok, tudzież dwa lata, to zrobi wszystko, żeby ten obrót spraw przyspieszyć – jeśli rozwój wypadków mu odpowiada – albo żeby do niego w ogóle nie dopuścić.

I w ten właśnie sposób ów król momentalnie pomiesza następstwo wydarzeń, które w ogóle doprowadziły do tamtego stanu rzeczy. Był to odwieczny dylemat osób podróżujących w czasie, z czym Rebeka zdołała się zapoznać podczas lektury ksiąg science fiction, przeniesionych wraz z całym miasteczkiem do

siedemnastego wieku. I podobnie jak jej mąż, uznała, że Ognisty Krąg stworzył świat równoległy do tego, z którego pochodziło Grantville i cała historia, która doprowadziła do powstania miasteczka.

Gdy tak rozmyślała, Richelieu przyglądał jej się bacznie. Jego inteligentne ciemnobrązowe oczy również kryły w sobie coś ponurego. Ani przez chwilę nie myślała, że kardynał jest zbyt głupi, by to pojąć. On również wiedział, że historia, która miała miejsce, już się nie powtórzy – wiedział też jednak, że mimo to można dostrzec w owych wydarzeniach pewne ogólne wzorce. I odpowiednio pokierować losami Francji.

Potwierdziły to jego kolejne słowa.

–Naturalnie *konkretne* wydarzenia będą inne, jednakże podstawowy zarys tamtej przyszłości jest wystarczająco przejrzysty. Myślę, że można go podsumować określeniem, które tak faworyzujecie: „demokracja”. Bądź też, jak ja bym to ujął, rządy mas, albowiem, szczerze mówiąc, u podstaw wszystkich struktur politycznych owego świata przyszłości leży ta sama cecha. Odrzucono władzę panującej arystokracji i rodziny królewskiej; cała władza spoczywa w rękach ludu – niezależnie od tego, czy nazywa się go „obywatelami”, „proletariatem”, czy też jeszcze inaczej. Żadnych cugli, żadnej kontroli, żadnych ograniczeń nałożonych na ich pragnienia i ambicje.

Tym razem machnięcie dłonią nie było lekceważące.

–A za tym idzie cała reszta. Masakra sześciu milionów twych żydowskich pobratymców, pani, że wspomnę tylko o jednym przykładzie. Zbrodnie dokonane przez takie potwory, jak Stalin i ci Azjaci. Mao i Pol Pot, o ile dobrze sobie przypominam. Nie zapominajmy też o dewastacji całych miast i regionów przez reżimy, które może i były mniej despotyczne, lecz siały równie wielkie spustoszenie wśród narodów. Pragnę ci też przypomnieć, pani, że Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, które tak usilnie pragniecie odtworzyć w tym świecie, ani przez chwilę nie zawahały się przed spopieleniem miast w Japonii – a także w Niemczech, z którymi przecież teraz sąsiadujecie. Pół miliona ludzi – choć bardziej prawdopodobne, że cały milion – wybitych niczym insekty.

Rebeka zacisnęła szczęki. Instynktownie chciała wrzasnąć w odpowiedzi: „Czyżby? A to, że przez ciebie Niemcy są spustoszone? W wojnie trzydziestoletniej zginie więcej Niemców niż w którejkolwiek z wojen światowych dwudziestego wieku! Nie wspominając już o milionach dzieci, które co roku umierają w tym twoim drogocennym arystokratycznym świecie z powodu chorób, głodu i ubóstwa – nawet, gdy panuje pokój – a wszystkiemu temu można przecież zaradzić w mgnieniu oka!”.

Posłuchała jednak rady, której udzielił jej mąż. Kłótnia z Richelieu nie miała sensu.

On nie stawiał żadnej hipotezy. On po prostu uświadamiał wysłannikowi Stanów Zjednoczonych, że konflikt trwa i nie dobiegnie końca, dopóki jedna ze stron nie zwycięży. Mimo całego wdzięku, uprzejmości i pogody ducha, jakie kryły się w jego uśmiechu, Richelieu właśnie wypowiadał im wojnę.

I w rzeczy samej takie były jego kolejne słowa.

–Wszystko to ma już dla mnie sens. Owszem, to Bóg stworzył Ognisty Krąg. Nadawanie temu cudowi miana „czarów” zakrawa na absurd. Uczynił to po to, by ostrzec nas przed niebezpieczeństwami przyszłości, abyśmy mogli przygotować się na ich odparcie. Abyśmy niezłomnie próbowali stworzyć świat oparty na niezachwianych fundamentach monarchii, arystokracji i kościoła państwowego. Owe niebezpieczeństwa pani, Madame Stearns, i pani lud – bynajmniej nie chcę pani urazić i nie implikuję *pani* osobistej grzeszności – zarówno szercyście, jak i ucieleśnacie.

Kardynał powstał i z szacunkiem uklonił się Rebecce.

–A teraz obawiam się, że muszę się zająć sprawami króla. Ufam, pani, że spędzisz miło czas w Paryżu, a gdybym tylko mógł w czymkolwiek służyć, proszę, daj mi znać. Jak prędko zamierzasz, pani, wyruszyć do Holandii? I w jaki sposób?

„Tak szybko, jak tylko dam radę, pierwszą lepszą drogą”.

Ograniczyła się jednak do nieśmiałego, prawie dziewczęcego:

–Nie jestem pewna. Podróż stąd do Holandii będzie ciężka z uwagi na czasy, które nastąpiły.

Urok Richelieu wrócił z pełną mocą, gdy odprowadzał ją do drzwi.

–Zdecydowanie doradzam drogę lądową. Na kanale La Manche – a nawet na Morzu Północnym – załęgłi się piraci. Mogę zapewnić ci, pani, ochronę do granicy Niderlandów Hiszpańskich i bez wątpienia bezpieczną przeprawę do Holandii. Owszem, owszem, obecnie Francja i Hiszpania są antagonistami, lecz – mimo tego, co mogłaś słyszeć, pani – moje osobiste relacje z arcyksiężną Izabelą są całkiem dobre. Hiszpanie na pewno nie będą robili przeszkód.

Stwierdzenie to było co najmniej śmieszne. Ostatnią rzeczą, jaką Hiszpanie chcieliby ujrzeć, była misja dyplomatyczna pod przewodnictwem małżonki prezydenta Stanów Zjednoczonych, zadomowiona w Holandii, którą owi Hiszpanie starali się od półwiecza podbić. Te Stany Zjednoczone może i nie były wielkie. Jeśli chodzi o obszar, były to po prostu stare regiony Turyngii i zachodniej Frankonii – mały wycinek Niemiec. Zgoda, wedle niemieckich standardów Stany Zjednoczone były ważnym księstwem. Tylko Saksonia miała większą liczbę ludności. Jednak ich

populacja była niczym w porównaniu z populacją czy to Francji, czy Hiszpanii. A mimo to rok wcześniej owo nowe małe państwo rozbiło armię hiszpańską pod Eisenach i zamkiem Wartburg. Sama idea sojuszu między Stanami Zjednoczonymi i Republiką Zjednoczonych Prowincji... była najgorszym z koszmarów dla każdego hiszpańskiego oficjela.

–Być może – tylko tyle powiedziała. Gdy wychodziła, miała na twarzy pogodny uśmiech.

Rozdział 2

Gdy drzwi się zamknęły, Richelieu odwrócił się i z powrotem usiadł. Po chwili przez wąskie wejście znajdujące się w głębi pomieszczenia wszedł Etienne Servien. Pozornie były to drzwi szafy; w rzeczywistości prowadziły do komnaty, z której Servien mógł śledzić audiencje u kardynała, kiedy tylko Richelieu sobie tego życzył. Servien należał do grona specjalnych agentów zwanych „intendentami”, pieczołowicie wyselekcjonowanych przez samego kardynała. Richelieu zawsze jemu powierzał najdelikatniejsze zadania.

–Słyszałeś? – mruknął kardynał. Servien skinął głową.

Richelieu wyrzucił ramiona w górę w geście łączącym rozbawienie i poirytowanie.

–Cóż za wyjątkowa kobieta!

Kardynał poczuł lekkie szarpnięcie i spojrzał w dół na kotka bawiącego się rąbkiem jego szaty. Pogodny uśmiech wrócił na jego twarz. Schylił się, podniósł drobne stworzenie i posadził je na kolanach. Głaszcząc zwierzę, wrócił do poruszonej kwestii.

–Nigdy bym się tego nie spodziewał, Etienne. Sefardyjka, córka doktora Baltazara Abrabanela we własnej osobie! Oni potrafią rozmawiać bez końca, nie zważając nawet na głód. Tylko filozofowie i teolodzy. Myślałem, że będę się tylko uśmiechał, a informacje same napłyną do mych uszu. A tymczasem...

Zaśmiał się.

–Nie zdarza mi się to zbyt często. Ufam, że nie zdradziłem się z niczym istotnym?

Servien wzruszył ramionami.

–Sefardyjczycy stanowią również większość bankierów w Europie i Imperium Osmańskim, Wasza Eminencjo – a to nie jest profesja znana z nadmiernej rozmowności. Może i Baltazar Abrabanel jest medykiem oraz filozofem, ale podobnie jak jego brat Uriel, jest też doświadczonym szpiegiem. A ten fach również nie sprzyja gadulstwu. A na domiar złego córka Abrabanela w opinii wszystkich, również jej wrogów, jest nieprawdopodobnie inteligentna. Bez wątpienia wydedukowała, że Francja nie złożyła broni. Tak więc... sędzę, że wybrałaś, panie, najlepsze wyjście. Poza tym niczego się nie dowiedziała. Z całą pewnością, panie, nie było w twych słowach żadnej sugestii dotyczącej naszego wielkiego planu.

–„Wielki plan” – powtórzył Richelieu. – Który wielki plan masz na myśli, Etienne? Ten większy czy ten mniejszy?

–Każdy z osobna bądź obydwu naraz. Zapewniam cię, panie, że z twych słów nawet sam szatan niczego by nie wywnioskował. Ona jest inteligentna, nie przeczę, lecz jak sam mówiłeś, panie, nie jest czarownicą.

Kardynał zadumał się na chwilę; jego pociągła twarz zdawała się jeszcze bardziej wydłużać.

–Wciąż uważam, że jest zbyt inteligentna – oznajmił w końcu. – Mam nadzieję, że przyjmie mą ofertę i pozwoli się odeskortować drogą lądową do Niderlandów Hiszpańskich. Wtedy moglibyśmy na dziesiątki różnych sposobów przedłużyć jej podróż. Jednak...

Potrząsnął głową.

–Wątpię w to. Tyle z pewnością sama wydedukuje i zdecyduje się na podróż morską do Holandii. A przecież absolutnie nie możemy dopuścić do tego, żeby miała okazję przyrzeć się naszym portom. Na pewno nie teraz!

Servien zacisnął usta.

–Z całą pewnością mogę trzymać ją z dala od Hawru, Wasza Eminencjo, ale nie od każdego portu na La Manche – to by było zbyt czytelne. Gdyby jednak była zmuszona wsiąść na statek w którymś z mniejszych portów, być może nie dostrzegłaby wystarczająco wiele...

Richelieu przerwał mu zniecierpliwionym gestem.

–Dość, Etienne! Zdaję sobie sprawę, że chcesz mi oszczędzić konieczności podjęcia decyzji. Decyzji, która – Bóg mi świadkiem – jest mi do cna wstrętna. Jednakże racja stanu nigdy nie kieruje się sentymentami. – Westchnął ciężko. – Oczywiście wiesz, że nie możesz dopuścić jej do Hawru. Któryś z mniejszych portów i tak lepiej się nada do... tego, co niezbędne.

Kardynał spojrzał na kotka, który wciąż bawił się jego wskazującym palcem.

–Kto wie? Może szczęście się do nas uśmiechnie, do niej zresztą też, i podejmie złą decyzję.

Łagodny uśmiech znów pojawił się na jego twarzy.

–Na świecie istnieje tak niewiele cudownych stworzeń boskich. Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli unicestwić kolejnego z nich. Gdy będziesz wychodził, Etienne, bądź tak dobry i wezwij służącego.

Uprzejmie, lecz stanowczo odprawiony Servien uklonił się i opuścił komnatę.

Chwilę później do pomieszczenia wszedł Desbournais. Był on *valet de chambre* kardynała, który przyjął go do służby jako siedemnastoletniego chłopca. Richelieu cieszył się równie wielką popularnością wśród swych służących, jak i sojuszników i współpracowników. Gdy bronił interesów Francji, często nie znał litości, jednak wobec otaczających go osób zawsze był miły i uprzejmy, niezależnie od tego, jakiego byli pochodzenia. Był też dla nich bardzo szczodry. Richelieu odplacał lojalnością za lojalność. Tyczyło się to zarówno pomocy kuchennej, jak i Ludwika XIII, króla Francji.

Kardynał uniósł kota i pokazał go Desbournais'owi.

–Czyż nie jest cudowny? Zapewnij mu opiekę, Desbournais – i to najlepszą, pamiętaj.

Kiedy służący wyszedł, Richelieu wstał z fotela i podszedł do okna. Budynek, w którym kardynał mieszkał zawsze, gdy przebywał w Paryżu – a który tylko z nazwy nie był pałacem – był kupionym przez niego starym hotelem przy rue St. Honoré nieopodal Luwru. Richelieu nabył także sąsiadujący hotel, żeby po zrównaniu go z ziemią zapewnić sobie lepszy widok na miasto.

Gdy tak stał i wyglądał przez okno, wszelka życzliwość i łagodność odpłynęły z jego twarzy. Wrogowie kardynała znali to zimne, surowe, wręcz wyniosłe oblicze, które spoglądało w dół na wspaniałą Paryż. Mimo całego swego uroku i wdzięku Richelieu potrafił stać się niesamowicie przerażający. Był wysokim mężczyzną, którego szczupłość przysłańiała zawsze noszone przezeń ciężkie i bogate szaty. Podłużna twarz, wysokie czoło, łukowato wygięte brwi, duże brązowe oczy – to były cechy intelektualisty. Jednak lekko zakrzywiony nos i mocno zarysowany podbródek, który podkreślała spiczasta i starannie przystrzyżona bródka, charakteryzowały już zupełnie innego człowieka.

Hernán Cortés zrozumiałby tę twarz. Podobnie książę Alba. Każdy z wielkich zdobywców tego świata zrozumiałby twarz, którą ukształtowały lata żelaznych postanowień.

–Niech i tak będzie – powiedział cicho. – Bóg litościwy tworzy wystarczająco wiele cudownych stworzeń, żebyśmy mogli niszczyć te, które zniszczyć musimy. Taka jest konieczność.

* * *

–No i jak poszło? – zapytał radośnie Jeff Higgins. Gdy jednak ujrzał zaciętą minę Rebeki, jego uśmiech nieco osłabł. – Aż tak źle? Wydawało mi się, że ten facet ma reputację...

Rebeka pokręciła głową.

–Był uprzejmy i czarujący. Co absolutnie nie przeszkodziło mu w wypowiedzeniu nam ni mniej, ni więcej, tylko wojny totalnej.

Głęboko wzdychając, zdjęła szal, który nosiła dla ochrony przed typową paryską mżawką. Tylko trochę przesiąkł wilgocią, rozwiesiła go więc na oparciu jednego z krzeseł w salonie domu, który poselstwo Stanów Zjednoczonych wynajęło w Paryżu. Na widok wchodzącego do pokoju Heinricha Schmidta uśmiechnęła się smutno. *Majora* Heinricha Schmidta, jeśli chodzi o ścisłość. Oficera dowodzącego niewielkim oddziałem żołnierzy armii amerykańskiej, którzy wraz z Jeffem i Gretchen Higginsami oraz Jimmym Andersenem towarzyszyli Rebecce w jej podróży.

–Obawiam się poważnie, że już wkrótce będziecie, panowie, zarabiać na chleb.

Heinrich wzruszył ramionami. Tak samo Jeff, który – choć w trakcie tej misji miał zadanie specjalne – również służył w armii Stanów Zjednoczonych, podobnie jak jego przyjaciel Jimmy.

Kolejną osobą, która wkroczyła do pokoju, była żona Jeffa.

–No i jak się sprawy mają? – zapytała. Niemiecki akcent wciąż się przebijał przez jej swobodną, potoczną angielszczyznę.

Rebeka uśmiechnęła się nieco szerzej. Kontrast między Jeffem a Gretchen zawsze wywoływał u niej serdeczne rozbawienie. Właśnie to Amerykanie nazywali „dziwną parą” w jednej z tych elektronicznych sztuk, które wciąż mocno ją fascynowały, mimo tak wielu godzin spędzonych przed ekranem telewizora, a nawet prowadzenia własnego talk-show.

Mimo że Jeff Higgins znacznie zmęźniał przez ostatnie dwa lata, odkąd niewielkie amerykańskie miasteczko zostało przeniesione do roku 1631, do centrum rozdartej wojną środkowej Europy, wciąż jednak roztaczał wokół siebie aurę kogoś, kogo Amerykanie nazywali „maniakiem komputerowym”. Był wysoki i nadal – mimo licznych ćwiczeń – miał sporą nadwagę. Chociaż ostatnio świętował swoje dwudzieste urodziny, wciąż wyglądał jak nastoletni chłopiec. Perkaty nos widniał między oczyma intelektualisty, które spoglądały na świat przez grube szkła okularów dla krótkowidzów. Trudno sobie wyobrazić mniej romantyczną postać.

Tymczasem jego małżonka...

Gretchen z domu Richter była starsza od Jeffa o dwa lata. Nie można było jej określić mianem „piękności” – miała wydatny nos i mocną szczękę, pomijając już okazałą posturę i ramiona szersze niż u większości kobiet – jednak była na tyle urodziwa, że gdziekolwiek poszła, mężczyźni się za nią oglądali. Zaś fakt, że Gretchen była, jak to Amerykanie mawiają, „dobrze zbudowana”, tylko wzmacniał ów efekt, podobnie jak długie blond włosy, które spływały kaskadą na jej masywne

ramiona.

W przeciwieństwie do Jeffa, Gretchen urodziła się tutaj. Podobnie jak Rebeka, należała do grona siedemnastowiecznych Europejczyków, których losy Ognisty Krąg związał z losami nowo przybyłych Amerykanów, wśród których obydwie kobiety znalazły mężów.

Gretchen nie zważała na swe korzenie – przyswoiła sobie światopogląd i ideologię amerykańską z zapalem i gorliwością neofitki. Chociaż prawie wszyscy Amerykanie oddani byli ideom demokracji i równości społecznej, zaangażowanie Gretchen (co nie powinno dziwić z uwagi na koszmar, przez który musiała przejść) nawet w nich samych wywoływało przerażenie.

Rebeka przypomniała sobie o tym po raz kolejny, gdy ujrzała Gretchen bawiącą się skrajem swej kamizelki, która wspaniale maskowała przedmiot wiszący w futerale na jej ramieniu. Rebeka doskonale wiedziała, że to jej ukochany pistolet kaliber 9 milimetrów. Czasem kusiło ją, by zapytać Jeffa, czy jego żona także śpi z tą bronią.

Przyczyną uśmiechu Rebeki było jednak głównie to, że lubiła Jeffa i Gretchen Higginsów i bardzo mocno im sprzyjała. W przypadku Jeffa chodziło między innymi o to, że ów młodzieniec kiedyś ocalił ją od pewnej śmierci z rąk chorwackiego kawalerzysty w służbie austriackich Habsburgów. Jeśli chodzi o Gretchen – pomijając fakt, że się przyjaźniły – Rebeka dobrze wiedziała, że ten bez mała fanatyzm Gretchen jest jednym z kluczy do przetrwania nowego społeczeństwa tworzonych przez Rebekę i jej męża Mike'a.

*** * ***

Gretchen mogła przerażać innych, lecz nigdy nie przerażała Mike'a Stearnsa. Oczywiście nie zawsze podzielał jej zdanie – a nawet jeśli tak było, to często uważał jej metody działania za niedopuszczalne. Niezależnie od tego, jak wysoko wspiąłby się w tym nowym świecie, mąż Rebeki wciąż pozostawał tym samym człowiekiem, co zawsze: przewodniczącym związku zawodowego appalachijskich górników, którzy również mieli bolesne wspomnienia związane z uciskiem ze strony potężnych i bogatych.

–Kogo chcesz oszukać? – burknął kiedyś do Rebeki, gdy ta ze złością wyrażała się o żarliwości Gretchen, połączonej z kompletnym lekceważeniem zawilosci sytuacji politycznej. Właśnie skończyli śniadanie i Mike pomagał żonie zmywać naczynia. Choć już zdążyła się do tego przyzwyczaić, wciąż jednak urzekło ją to, że ktoś tak bardzo męski pomaga jej w kuchennych obowiązkach.

–Jak przyjdzie co do czego, jedynymi ludźmi, na których naprawdę będę mógł polegać – pomijając moich górników, nowe związki zawodowe i pewnie też nowe

kółka rolnicze Williego Raya – będą Gretchen i jej popierdzielone dzieciaki.

Mike wytarł ostatni talerz i włożył go do szafki.

–Oczywiście wiadomo, że teraz jesteśmy w łaskach u Szwedów. Gustaw Adolf jest naszym przyjacielem, a kanclerz Oxenstierna pewnie też. Nie zapominaj jednak, że to jest *król*, a *szlachcic* Axel Oxenstierna jest w takim samym stopniu oddany arystokracji, w jakim Gretchen tych drani nienawidzi. Jeśli los się odwróci...

Wyjrzał przez okno kuchenne ich domu w Grantville i zdecydowanie pokręcił głową.

–Chociaż Gustaw II Adolf będzie się strasznie wzbraniał, to jednak w mgnieniu oka poderżnie nam gardła, jeśli tylko pojawią się niesprzyjające okoliczności. A jak nas zabraknie, Gretchen i jej skrajni demokraci z komitetów korespondencyjnych staną się tylko karmą dla psów – i bądź pewna, że ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Ilekroć wkurzam ją gadaniem o „kompromisie z zasadami”, ona wie, że potrzebuje mnie tak samo, jak ja potrzebuję jej.

Gdy odwrócił się od okna, w jego błękitnych oczach tańczyły radosne iskierki.

–Poza tym ona niesamowicie się przydaje. Czytałaś o amerykańskim ruchu na rzecz obrony praw obywatelskich, prawda?

Rebeka przytaknęła. Wprost pożerała książki o historii Stanów Zjednoczonych (tak naprawdę to o historii wszystkich krajów, ale Stanów Zjednoczonych w szczególności), odkąd Mike ocalił ją i jej ojca przed bandą maruderów. Wydarzyło się to tego samego dnia, kiedy pojawił się Ognisty Krąg. Dwa lata temu – a Rebeka bardzo szybko czytała. Przeczytała naprawdę dużo książek.

Mike uśmiechnął się.

–Opowiem ci pewną anegdotę. Malcolm X powiedział kiedyś, że biały establishment tylko dlatego chce rozmawiać z wielebnym Martinem Lutherem Kingiem, że nie chce rozmawiać z nim. I mniej więcej tak to się właśnie przedstawia, jeśli chodzi o mnie i Gretchen.

Jakieś poruszenie za oknem musiało przykuć jego uwagę, ponieważ Mike na chwilę się odwrócił. Cokolwiek ujrzał, wywołało to szeroki uśmiech na jego twarzy.

–O wilku mowa... Pozwól na chwilę, skarbie, a zobaczysz, o co mi chodzi.

Rebeka podeszła do okna i ujrzała Harry’ego Leffertsza przechadzającego się po ulicy. Było wczesnie rano, a wnosząc po jego wielce usatysfakcjonowanej minie, Harry spędził noc w towarzystwie jednej z dziewcząt, które Ignęły do niego niczym muchy do miodu. Harry był przystojnym młodzieńcem, obdarzonym zuchwałą

pewnością siebie i beztroskim poczuciem humoru, co przyciągało rozliczne młode niewiasty.

Zdziwiła się nieco. Miłosne podboje Harry'ego wydawały się nie mieć żadnego związku z dyskusją, którą prowadziła z Michaeliem. Patrząc jednak, jak zawadiacko Harry maszeruje – nic przesadnego, po prostu lekka zadziorność młodego, niesamowicie pewnego siebie człowieka – Rebeka zaczęła rozumieć.

Te cechy Harry'ego, które podobały się kobietom, nie musiały się podobać mężczyznom, zwłaszcza tym, którzy postanowili nie wchodzić mu w drogę. Ci, którzy to zrobili, bardzo szybko dowiadawali się, co Amerykanie rozumieją pod pojęciem „twardziel”. Harry był dobrze umięśniony, a jego umysł dorównywał zatwardziałością jego ciała. Kiedy chciał, potrafił być naprawdę przerażający.

–Czy mówiłem ci, jak zawsze wykorzystywałem Harry'ego w trakcie negocjacji? – wymruczał jej do ucha Mike. – Kiedy jeszcze byłem związkowcem?

Rebeka pokręciła głową, a następnie zachichotała, gdy pomruk Mike'a przerodził się w coś bardziej intymnego z językiem i uchem w rolach głównych.

–Przestań! – Odepchnęła go z rozbawieniem. – Mało ci po zeszłej nocy?

Mike wyszczerzył zęby i powoli zaczął się zbliżać.

–Widzisz, zawsze dbałem o to, żeby zabierać Harry'ego na negocjacje z przedstawicielami firmy. Cały czas siedział w kącie, a gdy tylko zaczynałem przebąkiwać o pójściu na kompromis, warczał i spoglądał na mnie z wściekłością. To było jak czary – skutkowało w dziewięciu na dziesięć przypadków.

Rebeka ponownie zachichotała i wymknęła się mężowi, choć nieszczególnie, bo znalazła się w kącie kuchni.

–Mniej więcej tak właśnie widzę rolę Gretchen – wymruczał Mike. Zbliżał się coraz bardziej. Pomruk stał się delikatnie chropawy. – Europejscy arystokraci szczerze mnie nienawidzą, ale jak zobaczą Gretchen siedzącą w kącie i warczącą...

Znalazła się w potrzasku. Mike był wytrawnym strategiem i natychmiast ją dopadł.

–Owszem – powiedział. – Tak się składa, że mało mi po zeszłej nocy.

* * *

Na wspomnienie tego, co nastąpiło później, Rebecce zrobiło się nieco cieplej w sercu – równocześnie jednak stało się to źródłem pewnej frustracji. Zazdrościła Jeffowi i Gretchen, że mogli w tę podróż wyruszyć razem, szczególnie wtedy, gdy do jej uszu

dobiegały odgłosy z sąsiedniej sypialni, a ona usychała z tęsknoty za własnym łóżkiem w Grantville. Za Mike’iem i jego cudownym gorącym ciałem.

Lecz... nie było takiej możliwości, żeby Mike pojechał z nimi. Był prezydentem Stanów Zjednoczonych i obowiązki nie pozwalały mu na nieobecność dłuższą niż kilka dni.

Jej twarz musiała coś zdradzić, bo ujrzała, że Gretchen uśmiecha się z lekką radością, ale i z pełną satysfakcją. Gretchen i Jeff mogli dla innych stanowić „dziwną parę”, Rebeka wiedziała jednak, że obydwójce są sobie równie oddani, jak ona i Mike. A wnioskując po nocnych odgłosach („Noc po nocy, niech to szlag!”), łączyła ich też równie wielka namiętność.

Może jednak źle odczytała ten uśmiech. Żarliwe przekonania Gretchen same w sobie często sprawiały, że była radosna i pełna satysfakcji.

–A czego się spodziewałaś? – zapytała młoda Niemka. – Przecież to kardynał! Ten sam cuchnący wieprz, który rok temu chciał zarżnąć nasze dzieci w szkole – nie zapominaj o tym.

Rebeka nie zapomniała. W trakcie rozmowy z Richelieu to wspomnienie było w gruncie rzeczy równie pomocne, jak rady jej męża. Kardynał może i był pełen wdzięku i uroku, jednak ani na moment nie zapomniała, że potrafi być bezlitosny niczym żmija – i z równie zimną krwią zabijać.

Pomimo tego...

Zawsze będzie pewna różnica między tym, jak postrzega świat Gretchen, a jak go widzi Rebeka Stearns z domu Abrabanel. Dla niej okrucieństwa popełnione przez władców Europy zawsze majaczyły gdzieś na horyzoncie. Z Gretchen było inaczej. Na własne oczy widziała, jak mordują jej ojca; zgwałciła ją banda najemników, a następnie zaciągnęła do swego obozu; lata wcześniej inna banda najemników zabrała jej matkę i nie wiadomo było, jaki spotkał ją los; połowa rodziny była martwa bądź też w inny sposób rozbita – a wszystkie te potworności wynikały z tego, że europejscy arystokraci postanowili się spierać o przywileje. To, że przy okazji zrujnują całe Niemcy i wyrzną ćwierć ludności, nie stanowiło dla nich najmniejszego problemu.

Rebeka sprzeciwiała się takim rządów arystokracji i dlatego postanowili wraz z mężem wprowadzić nowy, lepszy ustrój. Nie знаła jednak takiej czystej nienawiści, jaką czuła Gretchen. Doskonale wiedziała, że Niemka nie dostrzegłaby czaru i wdzięku w Jego Eminencji, kardynale Richelieu. Cały czas starałaby się w myślach dopasować pętlę do jego długiej arystokratycznej szyi.

–Być może – mruknęła do samej siebie – to wcale nie byłby taki zły pomysł.

–Słucham? – zapytał Heinrich.

Twarz majora również była pogodna. Mimo młodego wieku – Heinrich skończył zaledwie dwadzieścia cztery lata – ów były najemnik widział już więcej przelanej krwi, niż większość żołnierzy w różnych okresach historycznych widziała przez całe swe życie. Rebeka niewątpliwie lubiła Heinricha, jednak jego obojętność na cierpienie momentami ją przerażała. Może nie tyle sama obojętność, co przyczyna tej obojętności. Heinrich Schmidt był z natury człowiekiem raczej dobrodusznym, ale długi czas spędzony w armii Tilly’ego, po tym, jak w wieku piętnastu lat został przymusowo do niej „wcielony”, pozostawiły na nim żelazną skorupę. Gdy tylko dostał szansę, z chęcią zgłosił się na ochotnika do armii amerykańskiej. I Rebeka była pewna, że na swój sposób Heinrich jest równie oddany swej nowej ojczyźnie, jak ona sama. W dalszym ciągu jednak często wychodził z niego bezduszny najemnik.

–Nieważne – odparła. – Właśnie sobie przypomniałam – skinęła głową w stronę Gretchen – że Richelieu jest zdolny do wszystkiego.

Wysunęła krzesło, na którym wcześniej rozwiesiła szal, i usiadła.

–I w związku z tym musimy podjąć pewną decyzję. Dłuższy pobyt w Paryżu nie ma najmniejszego sensu. Pytanie brzmi: jaką drogą wyruszymy do Holandii?

Nagły ruch w drzwiach zwrócił jej uwagę. Do kuchni wkroczył młodszy kolega Jeffa, Jimmy Andersen. Za jego plecami Rebeka dostrzegła pozostałych pięciu żołnierzy z oddziału Heinricha.

Poczekala, aż wszyscy weszli do środka i albo gdzieś przycupnęli, albo oparli się o ściany. Rebeka przypuszczała, że jej partnerskie zwyczaje wprawiłyby w osłupienie większość ambasadorów w historii ludzkości. Całą swą świętą traktowała jak kompanów, a nie jak podwładnych. Nie widziała w tym niczego złego. Była intelektualistką i jako taka cieszyła się każdą rozmową i polemiką.

–Oto jaki mamy wybór – oznajmiła, gdy już wszyscy słuchali. – Możemy podróżować drogą lądową albo spróbować wynająć przybrzeżny statek. Jeśli wybierzemy to pierwsze, Richelieu zaoferował, że da nam eskortę do terytorium hiszpańskiego i zapewnił mnie, że zdobędzie od Hiszpanów pozwolenie, żebyśmy bezpiecznie przedostali się do Zjednoczonych Prowincji.

Gretchen i Jeff już kręcili głowami.

–To pułapka – warknęła Gretchen. – Po drodze urządzi na nas zasadzkę.

Heinrich również kręcił głową, lecz jego gest skierowany był do Gretchen.

–Absolutnie nie – powiedział stanowczo. – Richelieu jest *mężem stanu*, Gretchen, a

nie ulicznym oprychem. – Uśmiechnął się nieznacznie. – I to nie jest kwestia moralności, bo prędzej zaufałbym rozbójnikowi. Po prostu gdyby kazał nas zamordować wtedy, gdy oficjalnie jesteśmy pod jego opieką, cała jego reputacja ległaby w gruzach.

Gretchen patrzyła na niego wściekłym wzrokiem, lecz Heinrich był niewzruszony.

–Owszem, ległaby. I przestań tak na mnie patrzeć, głupia dziewucho! Nienawiść do wrogów jest czymś pięknym i wspaniałym, lecz nie wtedy, gdy ci robi wodę z mózgu.

–Zgadza się z Heinrichem – wtrąciła się Rebeka. – Jednym z głównych powodów, dla których Richelieu odniósł sukces, jest to, że ludzie mu ufają. Za wszystko ręczy własnym słowem. Taka jest prawda, Gretchen, i myśl sobie, co chcesz.

Sięgnęła ręką za siebie i zdjęła z oparcia szal. Był wystarczająco suchy, więc zaczęła go składać.

–Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jeśli przyjmujemy jego propozycję, Richelieu zapewni nam bezpieczeństwo. Z drugiej jednak strony nie mam żadnych wątpliwości, że...

Heinrich zaśmiał się cicho.

–Będzie to najdłuższa podróż, jaką ktokolwiek odbył z Paryża do Holandii. Nie więcej niż kilkaset kilometrów – a założę się o co tylko chcecie, że dotarcie tam zajęłoby nam tygodnie, a może nawet miesiące.

W tym momencie wrogość Gretchen znalazła nowy cel i Niemka odzyskała swą normalną przytomność umysłu.

–I to bez żadnego problemu. Co pięć kilometrów złamana oś. Kulawe konie. Niespodziewane objazdy z powodu niespodziewanych powodzi. Wszystkie mosty zmiotły fale i – coś niebywałego – nikt nie wie, gdzie jest bród. Co najmniej dwa tygodnie na granicy, użeranie się z hiszpańskimi urzędnikami. Do wyboru, do koloru.

Jeff przez cały czas obserwował Rebekę.

–A jaki jest problem z tą drugą możliwością?

Rebeka skrzywiła się.

–W portach na północy Francji dzieje się coś, czego Richelieu nie chce nam pokazać. Nie wiem, co to może być, ale tu nie chodzi tylko o sojusz z Holendrami. Jestem tego niemal pewna. A to oznacza – uśmiechnęła się do Heinricha – i tutaj ja się założę, że nie zostaniemy wpuszczeni do Hawru. Richelieu już zadba o to, żeby

znalazła się jakaś wymówka.

–Masz rację – przyznał Heinrich. – Trzeba będzie wsiąść na statek w którymś z mniejszych i bardziej odległych portów.

Major najwyraźniej już wybiegał myślami w przód. Jak każdy wytrawny żołnierz, miał niemal instynktowną orientację w terenie. A podczas gdy Rebeka spędziła ostatnie dwa lata na pochłanianiu ksiązek, które przeniosły się wraz z Grantville, Heinrich z równie wielkim zapalem zgłębiał tajniki cudownych map i atlasów, które posiadali Amerykanie. W tym momencie jego wiedza o geografii Europy była niemal encyklopedyczna.

–Wciąż nie widzę, w czym problem – powiedział Jeff. – Nawet jeśli podróż wydłuży się o dwa albo trzy dni, to co z tego? Nadal będziemy w stanie dotrzeć do Holandii w ciągu dwóch tygodni.

–Piraci – odpowiedzieli niemal równocześnie Heinrich i Rebeka. Rebeka uśmiechnęła się i dała mężczyźnie znak głową, żeby kontynuował.

–Kanał Angielski aż roi się od tych drani – warknął major. – Trwa to od stuleci, ale tak źle jak teraz to chyba jeszcze nigdy nie było: Francuzi i Hiszpanie zajmują się problemami na lądzie, a na tronie angielskim zasiada ten żaloszny Karol.

Pięciu z sześciu zgromadzonych w kuchni żołnierzy kiwnęło potakująco głowami. Szósty, Jimmy Andersen, który poza Jeffem był jedynym rodowitym Amerykaninem w tej grupie, gapił się na niego z wybałuszonymi oczyma.

–Piraci? Na Kanale Angielskim?

Rebeka z trudem powstrzymała się od śmiechu. Chociaż przez te dwa lata Amerykanie zdążyli już nieźle przystosować się do realiów siedemnastowiecznej Europy, wciąż jednak zdarzało im się podświadomie myśleć starymi kategoriami. Dla nich wszystko co związane z „Anglią” niosło w sobie takie skojarzenia, jak: bezpieczeństwo, pewność, a czasem wręcz nuda. Sam pomysł *piratów* na Kanale Angielskim...

–Skąd oni się wzięli? – zapytał Jimmy.

–Większość ich baz wypadowych mieści się w północnej Afryce – odparł Heinrich. Wzruszył ramionami. – Oczywiście nie wszyscy to Maurowie. „Kaprowie” na usługach hiszpańskich, którzy robią wypady z Dunkierki i Ostendy, napadając na holenderskie statki, oraz dunkierczycy nie są zbyt wybredni, jeśli chodzi o ofiary. Nawet u Maurów pewnie połowa załóg wywodzi się z Europy. Hieny całego świata.

Jimmy wciąż kręcił głową z niedowierzaniem. Jeff, który zawsze przystosowywał się

do rzeczywistości szybciej niż jego kolega, posłał Rebecę znaczące spojrzenie.

–Czyli, krótko mówiąc, uważacie, że jeśli wybierzemy drogę morską... Jak trudno byłoby Richelieu zorganizować napaść piratów?

Rebeka nie była pewna. Heinrich również, sądząc po wyrazie jego twarzy.

Gretchen za to była pewna.

–Bez wątpienia tak zrobi! – ucięła. – On jest jak pajak. Wszędzie ma swą sieć.

Jak zawsze w przypadku Gretchen, odpowiedź była równie pewna jak analiza problemu. Tak jak myślała Rebeka, dziewięćmilimetrowiec był na swoim miejscu. Chwilę później Gretchen trzymała go w dłoni. Położyła go zdecydowanym ruchem na stole.

–Piraci, tak? – Omiotła całą kuchnię wrogim spojrzeniem. – Dajmy im posmakować *szybkostrzelności*, chłopcy. Co wy na to?

Ochrypy i pełen aprobaty śmiech dobył się z gardeł żołnierzy. Rebeka spojrzała na Heinricha.

Wzruszył ramionami.

–Jak dla mnie, to jest równie dobre rozwiązanie, jak każde inne.

Wzrok Rebeki padł teraz na Jeffa i Jimmy'ego. Twarz Jeffa, co wcale jej nie zdziwiło, wyrażała zacięty upór, z jakim popierał żonę. Jimmy zaś...

Teraz już nie mogła się nie roześmiać. Może i czasem realia tego nowego świata otumaniały Jimmy'ego Andersena, lecz wciąż był to nastolatek zapatrzony w gry, który cieszy się każdą nadarzącą się okazją.

–Ale ekstra! Wypróbujemy granatniki!

Rozdział 3

Doktor James Nichols skończył myć ręce, odwrócił się od umywalki i pomachał energicznie dłońmi, żeby je osuszyć. Mike wiedział, że nawet w szpitalu zapas ręczników jest tak skąpy, że James zalecił personelowi medycznemu używanie ich tylko wtedy, gdy będzie to naprawdę niezbędne.

Spodziewał się nieuniknionej skargi. Doktor jednak tylko lekko się skrzywił, pokręcił głową i podszedł do drzwi.

–Chodźmy już stąd. Pozwólmy tej biedaczce nieco się przespać.

Mike otworzył drzwi lekarzowi, który wciąż miał wilgotne ręce i wyszedł za nim na korytarz. Zastanawiał się przez chwilę, jak ta chora kobieta ma zasnąć, skoro cała rodzina tłoczy się wokół jej łóżka.

Ale tylko przez chwilę. Mike wiedział, że sam nigdy się do tego nie przyzwyczai, ale siedemnastowieczni Niemcy przywykli do takiej liczby osób w swych domach, która większość Amerykanów doprowadziłaby do obłądu. Liczyło się każde dobre łóżko – po co marnować je na dwoje ludzi, skoro zmieści się czworo?

Gdy drzwi się zamknęły, spojrzał ukradkiem na Nicholasa. Starał się ukryć swoje obawy, lecz chyba bez większego powodzenia.

Najwyraźniej w ogóle bez powodzenia.

–To nie dżuma, jeśli tego się obawiasz. – Głos Jamesa był bardziej ochryply niż zazwyczaj. Nichols normalnie pracował całymi dniami, ale odkąd Melissa wyjechała z Grantville, praktycznie mieszkał w szpitalu. Jeśli tylko twarz czarnoskórego mężczyzny może być poszarzała ze zmęczenia, to twarz Jamesa taka była. Ostre, surowe rysy zdawały się być nieco łagodniejsze, jednak nie z powodu wewnętrznego ciepła, tylko z wycieńczenia.

–Ty też musisz się przespać – oznajmił stanowczo Mike.

James posłał mu ironiczny uśmiech.

–Co ty powiesz? A ile ty sypiasz, odkąd Becky wyjechała?

Gdy tak szli w stronę gabinetu Nicholasa, przedzierając się przez zatłoczone korytarze jedyne szpitala w Grantville, grymas powrócił na twarz lekarza – tym razem już wyraźny.

–Boże święty, co nas opętało, żeby wysyłać kobiety na takie dzikie pustkowia? –

zapytał.

Mike parsknął.

–Paryż i Londyn nie zaliczają się raczej do „dzikich pustkowi”, James. Jestem przekonany, że James Fenimore Cooper zgodzi się ze mną w tej kwestii, jak tylko się urodzi. Podobnie George Armstrong Custer2.

–Pierdoły – nadeszła momentalnie odpowiedź. – Nie jestem jakimś „pogromcą czerwonoskórych”, do cholery jasnej, jestem lekarzem. W tych czasach miasta to istny raj dla zarazków. Nawet tutaj w Grantville jest ciężko przy naszym – śmiechu warte! – tak zwanym „systemie sanitarnym”.

Dotarli do gabinetu Jamesa i Mike po raz kolejny otworzył lekarzowi drzwi.

–Zapomnij o „radosnym Paryżu”, Mike. W roku Pańskim 1633 wyrafinowana paryska koncepcja „higieny” polega na wyjrzeniu przez okno przed wylaniem zawartości nocnika.

Mike skrzywił się lekko na myśl o tym, lecz nie oponował. I tak już wkrótce czekała go dyskusja. Kpina z warunków sanitarnych w Grantville bez wątpienia stanowiła preludium do jednej z częstych tyrad Jamesa na temat szaleństwa przywódców narodów ogólnie, a przywódców Konfederacji Księstw Europejskich w szczególności. Do tych ostatnich zaliczał się oczywiście sam Mike.

Gdy już usiedli – James za biurkiem, a Mike naprzeciw niego – zdecydował się zareagować na tyradę, zanim jeszcze się rozpoczęła.

–Darujmy sobie tradycyjne kazanie – mruknął. Jego głos również brzmiał dość ochryple. Powiedział sobie wyraźnie, że nie będzie wyładowywał na Nicholsie własnej frustracji spowodowanej nieobecnością Rebeki. Chociaż irytowało go, że doktor ma niemalże obsesję na punkcie epidemii, to jednak bardzo szanował i podziwiał Nicholasa. Pomijając już fakt, że od czasu Ognistego Kręgu James stał się jednym z jego najlepszych przyjaciół, umiejętności doktora poparte jego zapalem utrzymały przy życiu setki osób. Może nawet tysiące, jeśli spojrzeć na pośrednie efekty jego pracy.

–Co jej jest? – zapytał szorstko. – Znowu grypa?

Nichols skinął głową.

–Najprawdopodobniej. Może to być coś innego – a raczej grypa plus coś innego. Ale powiedziałbym, że to raczej kolejny przypadek – z Bóg wie ilu – kiedy to amerykańskie siedlisko chorób rozsiało wśród bezbronnych tubylców nasze wysoko rozwinięte szczepy influency.

Jego wydatne usta wykrzywiły się w kwaśnym uśmiechu.

–Oczywiście jestem przekonany, że wkrótce się na nas odegrają, jak tylko dopadnie nas ospa wietrzna. A tak się stanie, możesz być spokojny.

–Udało się coś...?

James wzruszył ramionami.

–Jeff Adams uważa, że w ciągu miesiąca powinniśmy już mieć szczepionkę, i to w wystarczająco dużych ilościach. Mam tylko nadzieję, że się nie myli w kwestii stosowania krowiej ospy. Ja nie jestem do końca przekonany, ale...

Ni stąd, ni zowąd uśmiechnął się. Ten wyraz twarzy był dla niego znacznie bardziej naturalny niż grymas, jaki towarzyszył mu w ostatnich dniach.

–Wydawać by się mogło, że chłopak z getta będzie mniej pedantyczny niż wy, biali! Ale nie jestem, Mike. Boże, to się nazywa ironia losu. Pamiętam jeszcze dni, kiedy narzekałem w swej klinice w getcie, że ugrzęzłem w mrokach średniowiecza. A teraz naprawdę tak się stało.

–Uważaj, żeby Melissa nigdy tego nie usłyszała – odparł Mike z szerokim uśmiechem. – To by dopiero była tyrada!

James pociągnął nosem.

–Jej się łatwo prawi kazania o szlachetności ludzi wszelkich czasów i miejsc. Wychowano ją na bostońską intelektualistkę. Pewnie od dziecka karmiono ją poprawnością polityczną. Ja dorastałem na ulicach na południu Chicago i wiem, jaka jest prawda. Niektórzy ludzie po prostu są gnidami, a większość ludzi to lenie. A przynajmniej niechluj.

Dźwignął się z trudem z krzesła i pochylił nad blatem, opierając się całym swym ciężarem na dłoniach.

–Mike, ja naprawdę nie mam obsesji. Nie masz pojęcia, co choroba może z nami – z całym pieprzonym kontynentem – zrobić w tych warunkach. Do tej pory mieliśmy szczęście. Kilka ognisk tu i tam – nic, co można by nazwać epidemią. Ale to tylko kwestia czasu.

Wskazał kciukiem na leżące za oknem miasteczko Grantville.

–Jaki jest sens tłumaczenia ludziom co wieczór w programach telewizyjnych, że higiena osobista jest istotna, kiedy większości z nich nie stać na ubrania na zmianę? Co mają zrobić w samym środku Niemiec w zimie? Stać nago w kolejce do jednej

Jedyną pralnię z prawdziwego zdarzenia?

Po uśmiechu nie było już śladu.

–Podczas kiedy my poświęcamy nasze cenne zasoby na budowanie coraz to nowszych zabawek dla tego pieprzonego króla, zamiast na przemysł włókienniczy i odzieżowy, wszy mają używanie. A gwarantuję ci, że choroby wybiją więcej osób – więcej żołnierzy tego durnego Gustawa – niż wszystkie wojska Habsburgów i Burbonów na całym świecie.

Mike wyprostował się. Znowu przyszła pora na kłótnię i nie było sensu jej unikać. James Nichols był równie uparty i nieustępliwy, jak inteligentny i pełen poświęcenia. Mike przynajmniej w połowie zgadzał się z doktorem, co sprawiało, że z jeszcze większym uporem bronił Gustawa Adolfa – oraz, rzecz jasna, swej własnej polityki. Stany Zjednoczone, których prezydentem był Mike Stearns, stanowiły po prostu kolejne księstwo wchodzące w skład Konfederacji Księstw Europejskich pod rządami króla Szwecji. Nawet jeśli w praktyce cieszyły się niemalże suwerennością.

–James, nie można tego sprowadzać do zwykłej arytmetyki. Ja wiem, że choroby i głód to prawdziwi zabójcy. Ale każdy kolejny rok jest inny. Jeżeli ustabilizujemy Konfederację i zakończymy wojnę trzydziestoletnią, wtedy będziemy mogli zacząć na serio planować przyszłość. Ale do tego czasu...

Ciężko westchnął.

–Czego ode mnie oczekujesz, James? Mimo wszystkich jego uprzedzeń i dziwactw oraz koszmarnego podejścia do wielu kwestii Gustaw Adolf jest najlepszym władcą tych czasów. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. I podobnie jak ja nie sądzisz, że Grantville dałoby sobie radę samo – bez przeznaczania jeszcze większej ilości zasobów na cele czysto militarne. Przynależność do Konfederacji, pomimo wszelkich minusów – a sądzę, że rozumiem je lepiej niż ty – to najlepsza opcja. Ale równocześnie oznacza, że nie mamy innego wyjścia, jak robić wszystko, co w naszej mocy, żeby Konfederacja utrzymała się na powierzchni.

Zerwał się i przemierzył trzema krokami odległość do okna. Ze złością wyjrzał na zewnątrz. Z gabinetu Nicholasa mieszczącego się na samej górze dwupiętrowego szpitala roztaczał się widok na tętniące życiem małe miasto.

Tętniące życiem i rojące się od ludzi. Senne appalachijskie miasteczko, które dwa lata temu przeszło przez Ognisty Krąg, już dawno zniknęło, choć oczywiście Mike ciągle jeszcze widział pozostałości po nim. Jak większość miasteczek w Wirginii Zachodniej, tak i Grantville cierpiało na spadek liczby ludności w dziesięcioleciach poprzedzających Ognisty Krąg. W centrum wznosiło się kilka wysokich, kilkupiętrowych budynków, które niegdyś stanowiły siedziby centrali przemysłu

górniczego i gazowniczego. W przeddzień tajemniczej i wciąż niewyjaśnionej katastrofy kosmicznej, która przeniosła miasteczko do siedemnastowiecznej Europy, budynki te stały niemal puste. Teraz były wypchane po brzegi, a wszędzie wyrastały nowe – co prawda siermiężne, ale zawsze.

Ten widok nieco go uspokoił. Niezależnie od tego, co zrobił, niezależnie od błędów, jakie mógł popełnić, Mike Stearns i jego polityka przekształciły Grantville wraz z przyległymi terenami w jeden z nielicznych obszarów w środkowej Europie, na których rozkwitała gospodarka i wzrastała liczba ludności. I to wzrastała gwałtownie. Nawet jeśli upór Mike'a w kwestii wspierania kampanii zbrojnej Gustawa Adolfa doprowadzi do śmierci wielu ludzi (a że tak właśnie będzie, wiedział równie dobrze jak Nichols), to jeszcze większą liczbę ludzi utrzyma przy życiu. Przy życiu i w dobrobycie.

Taką przynajmniej miał nadzieję.

–Co ja mam zrobić, James? – powtórzył raczej łagodnie niż ze złością. – Znaleźliśmy się w trójszczekowym imadle, a mamy tylko dwie ręce, żeby się bronić.

Nie odwracając się od okna, uniósł palec.

–„Szczęka numer jeden”. Czy nam się to podoba, czy nie, jesteśmy w samym środku jednej z najstraszniejszych wojen w historii Europy. Pod wieloma względami straszniejszej nawet niż którakolwiek z wojen światowych dwudziestego wieku. I nic nie wskazuje na to, że któraś z otaczających nas potęg zamierza zawrzeć pokój.

Usłyszał dyskretne chrząknięcie za plecami i pokręcił głową.

–Przykro mi, nie mamy jeszcze żadnych wieści od Rity i Melissy. Zdziwiłbym się, gdybyśmy mieli – razem z Julie i Alexem planowali popłynąć z Hamburga. Ale wczoraj dostałem wiadomość od Becky. Kilka dni temu dotarła do Paryża i już wyrusza do Holandii.

Usłyszał, jak James wzdycha.

–Richelieu był niebywale uprzejmy, lecz nie ustąpił ani na włos. Becky uważa, że tak naprawdę on planuje jakąś nową kampanię. Jeżeli ma rację, to znając tego cwane sukinsyna, czeka nas niezła jazda.

Spojrzał na południe.

–No i oczywiście wciąż pozostają uroczy Habsburgowie z Austrii. Nie mówiąc już o Maksymilianie Bawarskim. Ani o tym, że Wallenstein przeżył po Alte Feste i Bóg jeden wie, co ten człowiek knuje w swych czeskich posiadłościach. Ani o tym, że król Danii, Chrystian – a to przecież też protestant – wciąż planuje zniszczyć Szwedów.

Ani o tym, że większość „oddanych książąt” Gustawa – a to przecież też protestanci – to najgorsza banda zdradzieckich drani, jaką można sobie wyobrazić.

Mike zabębnił palcami o szybę.

–To była „pierwsza szczęka”. Trwa wojna, czy nam się to podoba, czy nie. Co gorsza, teraz chyba rozgorzeje na nowo.

–I w ten sposób docieramy do „szczęki numer dwa”. Jak mamy walczyć? Tak samo, jak robi to Gustaw, odkąd trzy lata temu wylądował w północnych Niemczech? Olbrzymie wojska zaciężne pustoszące okolicę? Nie mówię już nawet o przemocy, jakiej z ich strony doświadcza ludność cywilna – a wierz mi, że doświadcza, nawet przy praktykach dyscyplinarnych Gustawa – ale poza tym jest to najgłupszy możliwy sposób na zmarnowanie zasobów gospodarczych. Nie dość, że tak właśnie Szwecja utraciła masę zdrowych mężczyzn, to jeszcze skarbiec Gustawa świeci pustkami.

Ruszał palcami. Bum, bum, bum – niczym dobosz wybijający marsz.

–Nie możemy wiecznie pożyczać od kogoś pieniędzy, James. Abrabanelowie i reszta finansistów w Europie i Turcji, którzy nas wspierają, nie mają aż tylu funduszy, jeśli chodzi o ścisłość. Zwłaszcza jeśli porównamy to z tym, co mogą zgromadzić Richelieu i Habsburgowie. To oznacza zatem więcej podatków i opłat dla naszej ludności – a już w tym momencie jest tego za dużo.

Odwrócił się i odwzajemnił rozgniewane spojrzenie Jamesa.

–Przy takich podatkach, jakie są teraz, nie będzie ich nawet stać na ubrania na zmianę. Zostają nam opłaty za wszystko, jak tylko przekroczysz granicę Stanów Zjednoczonych. Nie mamy wyboru.

Nichols odwrócił wzrok, policzki nieco mu się zapadły. Chociaż wiele spraw leżało mu na sercu, James absolutnie nie był głupcem.

Mike nie przerywał ani na chwilę.

–Jaką mamy alternatywę – pomijając „nową politykę wojskową” Johna Simpsona?

Na wzmiankę o Simpsonie twarz Nicholasa przybrała srogi wyraz. Mike zarechotał, choć zazwyczaj słowa „John Simpson” wywoływały grymas i na jego twarzy.

–No jasne. Ten facet to skończony osioł. Bezczelny, zarozumiały, równie wrażliwy jak kamień przy drodze. Jak to mówi Melissa – „wypisz, wymaluj pierdoła naczelny”?

James skinął głową i zachichotał. Ukochana doktora gardziła Johnem Simpsonem jeszcze bardziej niż on sam i Mike.

Mike wzruszył ramionami.

–Czegokolwiek byśmy o nim nie powiedzieli, John Simpson to jedyny doświadczony wojskowy w Grantville. Przynajmniej jeśli mówimy o tego rodzaju doświadczeniu. Bo widzisz, on ukończył Akademię w Annapolis oraz Akademię Techniczną Sił Zbrojnych³ w Fort McNair. I niezależnie od tego, ile wazeliny zużył w trakcie swego pobytu w Pentagonie, to jest jedyna osoba, która ma pojęcie o tym, jak zaplanować i skoordynować coś takiego.

Mike oparł się dłońmi o parapet i odepchnął od okna. Po chwili wrócił na krzesło.

–Słuchaj, James, w tej kwestii Simpson ma rację. Dlatego właśnie, zaciskając zęby, popierałem go od momentu, gdy zgłosił swój projekt. Nie tylko popierałem, ale także jako pierwszy namówiłem Gustawa Adolfa wraz z jego doradcami i generałami. Musimy zmniejszyć tę cholerną armię. Stała się już gigantycznym tasiemcem w jelitach narodu. A jedyny sposób, żeby tego dokonać przy tych wszystkich otaczających nas wrogach, to postawić na jakość, a nie na ilość. A to z kolei oznacza przeznaczenie olbrzymiej większości naszych nowoczesnych zakładów produkcyjnych i siły roboczej na potrzeby armii.

Westchnął i potarł twarz.

–No i dotarliśmy do „szczęki numer trzy”, ponieważ te same zasoby, których używamy do budowania „zabawek” dla Gustawa, jak raczyłeś je nazwać, służą też do rozwijania innych dziedzin. Na przykład do ożywienia przemysłu włókienniczego albo udzielenia drobnemu przemysłowi samochodowemu takiego poparcia, jakiego już dawno powinniśmy mu udzielić – rolnikom potrzeba sporo małych silników o mocy dziesięciu koni, a nie garstki dieslowskich potworów, które napędzają pancerniki.

Przez chwilę przyglądali się sobie. Następnie Mike znów wzruszył ramionami i dodał:

–Chrzanić to, bądźmy optymistami. Kryzys gospodarczy i techniczny sprawia przynajmniej, że wszyscy dla odmiany myślą. Myślą i się organizują.

Słowo „organizować” – co było nieuniknione w przypadku mężczyzny wychowanego wśród związkowców – wywołało pierwszy prawdziwy uśmiech na twarzy Mike’a.

–Ty to lepiej docień, James, dobrze ci radzę. Możemy być żalosną zgrają nosicieli zarazy, ale gwarantuję ci, że ludność Stanów Zjednoczonych lada moment stanie się najlepiej zorganizowaną grupą ludzi na całym świecie. I to w dodatku zorganizowaną przez samych siebie, co jest sto razy lepsze od wszystkiego, co przychodzi z góry.

Machnął dłonią w geście pełnym werwy, kontrastującej z rezygnacją doktora.

–Do wyboru, do koloru. Co chwila powstają nowe związki zawodowe, kółka rolnicze, dzieciaki Williego Raya z jego Europejskich Rolników Przyszłości równie wiele czasu spędzają na dyskusjach o polityce, jak i obsiewaniu pól, w komitetach korespondencyjnych Gretchen są same wulkany energii. Chyba nawet organizacje dla dziadków są w świetnej formie i o czymś tam gadają, poza odbywaniem swoich durnych rytuałów. Henry Dreeson powiedział mi, że w zeszłym tygodniu „Lioni” uchwalili, że zaczną regularnie składać datki na Fundację „Łuki Wolności”.

Oczy Jamesa niemal wyszły na wierzch. W jakiś sposób – do tej pory nikt nie wiedział, jak zdołała tego dokonać – Gretchen przejęła byłą placówkę McDonald’s w Grantville dla swych komitetów korespondencyjnych. Kierownik restauracji, Andy Yost, zaklinał się, że nic o tym nie wie, lecz mimo to wciąż pełnił funkcję kierownika i – zapewne czystym zbiegiem okoliczności – był członkiem komisji nadzorującej gwałtownie rosnącą grupę radykałów.

Gretchen zmieniła nazwę na „Łuki Wolności” i niedawny McDonald’s w okamgnieniu stał się siedemnastowiecznym odpowiednikiem słynnych bistr i kawiarenek rewolucyjnego Paryża w późniejszych czasach. Z właściwą sobie szybkością i zapalem komitety korespondencyjne rozpoczęły proces tworzenia podobnych placówek w każdym miasteczku Stanów Zjednoczonych – a także poza granicami. Nowe „Łuki Wolności” powstały właśnie tuż poza obszarem Lipska, najbliższego z dużych miast Saksonii. Bardzo się to nie spodobało Janowi Jerzemu, księciu saskiemu, który od razu poskarżył się Gustawowi Adolfowi. Jednakże król Szwecji, który był też cesarzem Konfederacji Księstw Europejskich, nie wyraził zgody na ich likwidację. Gustaw miał swe własne obawy – delikatnie mówiąc – dotyczące komitetów korespondencyjnych. Nie był jednak głupcem, a z historii swej własnej dynastii Wazów nauczył się, że arystokrację trzeba trzymać krótko. Może i komitety nieco go irytowały, ale takich ludzi jak Jan Jerzy z Saksonii one wręcz przerażały – a to było pożądane.

Budynki, w których rodziły się nowe „Łuki Wolności”, były naturalnie siedemnastowiecznymi konstrukcjami. Owe wyeksponowane łuki – mimo że było to malowane drewno, a nie jakaś wymyślna nowoczesna robota – zostałyby jednak momentalnie rozpoznane przez każdego obywatela Stanów Zjednoczonych ze świata, który został gdzieś daleko w tyle. Co więcej, gdyby przeciętny Amerykanin z dwudziestego pierwszego wieku wszedł do środka, byłby raczej zaskoczony. Serwowano tu do jedzenia zwyczajny chleb, a zamiast kawy podawano do picia herbatę lub piwo. A z całą pewnością ogarnęłoby go zdumienie na widok prymitywnej prasy drukarskiej stojącej na honorowym miejscu w „sali jadalnej” i otaczającej ją – niemal przez całą dobę – grupy nastolatków z radością produkujących broszury i gazety dużego formatu.

–„Lioni”? – wykrztusił Nichols.

Mike uśmiechnął się szeroko.

–Aha. Oczywiście się z tym kryją. Spróbuj ich zrozumieć, James. Pewnie, że Gretchen i jej podżegacze wywołują ich niepokój, ale nawet najbardziej drętwi biznesmeni w miasteczku zdają sobie sprawę, że walczymy o nasze życie. Rycerze Kolumba nawet nie próbują się kryć ze swoimi dotacjami. Jako katolicy zdecydowani są udowodnić wszystkim ludziom, że to właśnie oni należą do najbardziej lojalnych obywateli.

James chrząknął. Na skutek przedziwnych procesów, jakie czasem zachodzą w historii, oficjalnie protestancka Konfederacja Księstw Europejskich (w tej części, która podlegała Stanom Zjednoczonym i ich ściśle przestrzeganej zasadzie wolności wyznania) stała się przystanią dla katolików ze środkowej Europy. Napływ imigrantów i wcielenie zachodniej Frankonii po zwycięstwie Gustawa i jego amerykańskich sojuszników nad Habsburgami w bitwie pod Alte Feste sprawiły, że katolicka ludność Stanów Zjednoczonych najprawdopodobniej dorównywała już liczebnie wyznawcom protestantyzmu i – co było typowe – stawała się jeszcze bardziej oddana ich radykalnym, wedle ówczesnych standardów europejskich, zasadom politycznym.

Mike rozłożył ręce.

–Tak więc, jak już mówiłem, bądźmy optymistami. Gramy na czas, James. Obydwa dobrze wiemy, że może u nas wybuchnąć epidemia. Ale jeśli tak się stanie, przynajmniej z kryzysem będą walczyć obywatele, którzy są czujni, z każdym dniem coraz lepiej zorganizowani i którzy już teraz są pewnie lepiej wykształceni niż jakikolwiek inny naród w Europie – pomijając może Holendrów.

–Wciąż nie widzę sensu poświęcania tak wielu naszych zasobów – mówię o tych wojskowych – na te pancerniki, na które Simpson jest tak napalony – powiedział kwaśno James. – Przecież to cholera nas zrujnuje. Pomijając już fakt, że musieliśmy oddać masę dobrej stali – a mam lepsze pomysły na spożytkowanie kilometrów szyn, które pozostały po Ognistym Kręgu, niż zużywanie ich na pancerze – to jeszcze musieliśmy rozmontować kilka dużych silników dieslowskich, najlepsze pompy w kopalni...

Zamilkł.

–Dobra, przyznaję, nie byłem na zebraniu gabinetu, kiedy podejmowano tę decyzję, gdyż wtedy przebywałem w Weimarze, bo trzeba było zdusić mały wybuch czerwoni – to przynajmniej możemy opanować – ale twoje późniejsze podsumowanie wyjaśniające nigdy nie miało dla mnie zbyt wielkiego sensu.

Mike zacisnął wargi i spojrzał przez okno. Wcale go to nie dziwiło; z militarnego

punktu widzenia rzeczywiście nie było sensu budować amerykańskiej marynarki sprzymierzonej z Gustawem Adolfem, która mogła prowadzić działania jedynie na rzekach środkowych Niemiec. Nie była to nawet straż wybrzeża.

Mike zawahał się. Nie bardzo chciał poruszać ten temat, gdyż *prawdziwy* powód wiązał się z tak bezwzględną polityką realną i myśleniem makiawelicznym, że większość urodzonych i wychowanych w Ameryce członków gabinetu zadławiłaby się nim. Melissa Mailey dostałaby ataku szału. Mimo że uczestniczyła w tamtym zebraniu, dla niej wszystkie kwestie militarne były na szczęście tak niesmaczne, że nawet nie przestudiowała tego zagadnienia, za co Mike dziękował niebiosom. Gdy tylko odrzucała swe uprzedzenia i z góry przyjęte osądy, miała diabelsko przenikliwy umysł.

Nichols jako lekarz (pomijając nawet miłosne relacje między nim a Melissą) również by się zadławił. Głównie dlatego, że w przeciwieństwie do wielu lekarzy, których Mike miał okazję spotkać, James Nichols traktował swą profesję *uzdrowiciela* śmiertelnie poważnie. Przysięga Hipokratesa nie była czymś, co James Nichols odbębnił czym prędzej, żeby tylko dostać licencję i zacząć zgarniać forszę.

Z drugiej strony...

Przez chwilę Mike obserwował Jamesa. Smoliście czarny mężczyzna o topornych rysach twarzy w milczeniu odwzajemniał spojrzenie; dłonie splótł przed sobą na blacie biurka. Były na nich blizny, które nie powstały na skutek praktyk medycznych. Zanim Nichols odwrócił swe życie do góry nogami, był dzieckiem ulicy w jednym z najgorszych chicagowskich gett. Za czasów jego młodości teren ten należał do Blackstone Rangers.

„A co tam. Jeśli przez tę cholerną robotę mam okłamywać jednego z najlepszych przyjaciół, to pieprzę to”.

–Dobra, James, będę z tobą zupełnie szczery. Gustaw Adolf chce mieć te pancerniki, żeby zabezpieczyć swe szlaki komunikacyjne na wypadek, gdyby zaatakowano Konfederację z zewnątrz. W tych czasach zaopatrzenie dla wojska najszybciej można przetransportować właśnie drogą wodną. Jeżeli będzie kontrolować rzeki – głównie Łabę, ale też te mniejsze, oraz kanały, gdy już je ulepszemy – będzie miał znaczącą przewagę nad potencjalnym najeźdźcą. To jednak tylko część prawdy, i to nie ta najważniejsza.

Wyprostował się.

–Ważniejsze jest to – dodał szorstko – że potrzebuje ich, a przynajmniej myśli, że ich potrzebuje, aby przede wszystkim utrzymać Konfederację w jednym kawałku.

Nichols otworzył oczy nieco szerzej. Tylko nieco.

–Zastanów się, na litość boską – ciągnął dalej Mike. Machnął ręką w stronę okna. – Konfederacja Księstw Europejskich to najbardziej rozklekotane, posklejane i sypiące się „królestwo” – ostatnie słowo aż ociekało sarkazmem – jakie świat kiedykolwiek widział. Szwedzki król władający mozaiką niemieckich księstw, autonomicznych miast cesarskich, jawnej republiki założonej przez żyjących na obczyźnie amerykańskich „nadczasowców” – do wyboru, do koloru. Wszystko to przeżarte dewocją i brakiem tolerancji, że nie wspomnę już o okresowych polowaniach na czarownice. To coś jak rodem z powieści fantasy albo z domu wariatów. Połowa na wpół niezależnych „podwładnych” Gustawa – zacznijmy od Jana Jerzego z Saksonii, który rządzi najpotężniejszym z tych księstw – w okamgnieniu wbiłaby mu nóż w plecy. W tym czasie większość pozostałych...

Nichols prychnął.

–Przyjmowałyby zakłady o to, jak głęboko wejdzie ostrze. A potem zaczęliby się kłócić o to, kto ma trzymać pieniądze.

–Właśnie. W każdej chwili wszystko może się rozlecieć. Pomyśl więc, jak wygląda cała sytuacja z punktu widzenia cesarza. Jeżeli uda mu się wystarczająco poprawić stan rzek i wybudować nowe kanały, a także ulepszyć te, które już istnieją, i jeżeli zapewnimy mu kilka pancerników rzecznych, które mogą rozwalić wszystko wokół, to wtedy Konfederacja stanie się już opłacalnym przedsięwzięciem. Przynajmniej jeśli chodzi o nagą siłę. Zerknij kiedyś na mapę – zapewniam cię, że Gustaw Adolf już to zrobił, bo nasza ekipa miernicza udostępniła mu najlepszą, jaką teraz można znaleźć – a zrozumiesz, o czym mówię. Wyobraź sobie, że Łaba to połączenie rdzenia kręgowego i tętnicy głównej. I spójrz później na te wszystkie odgałęzienia – rzeki, kanały, czasem i to, i to – które wszystko ze sobą łączą: Bałtyk z Turynią, Hesję-Kassel z Saksonią i Brandenburgią.

Na jego twarzy pojawił się drapieżny uśmiech.

–Weźmy na przykład Kanał Finow łączący Odrę i Hawelę. Jak być może wiesz, jest to jeden z tych kanałów, którym Gustaw dał pierwszeństwo w rozbudowie i ulepszaniu. Tak naprawdę swoim znaczeniem ustępuje tylko kanałom łączącym Łabę z bałtyckimi portami – Lubeką i Wismarem. Zastanów się, jak będzie wyglądała sytuacja z punktu widzenia Jerzego Wilhelma, elektora brandenburskiego, który jest niemal równie niegodny zaufania, jak elektor saski, kiedy obiektem jego rozmyślań stanie się jeden z pancerników Simpsona, unoszący się na Haweli w Berlinie. Z dziesięciocalowymi działami wymierzonymi w jego pałac.

–Mogą zdewastować kanały – zaprotestował James. – A przynajmniej zniszczyć śluzy. – Był to jednak protest bez specjalnego przekonania.

Mike wzruszył ramionami.

–Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, James, i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Dobre oddziały inżynieryjne – a Gustaw ma najlepsze – mogą je odbudować. Poza tym wszystko to zakłada śmiało, dobrze zorganizowane powstanie, wywołane przez grupę księżąt działających wspólnie. A to z kolei...

James już się śmiał.

–Ta banda chciwych, kłótliwych złodziei? W życiu!

Wesołość udzieliła się też Mike’owi. Jednak już po kilku sekundach uśmiech zniknął z twarzy Jamesa. Spoglądał teraz na Mike’a spod przymrużonych powiek.

–Jesteś aż tak bezwzględny? – wymamrotał. – Ofiarujesz Gustawowi taką piłę mechaniczną... wiedząc oczywiście, że jedyną częścią jego małego cesarstwa, przeciwko której nie mógłby użyć ostrza, jesteśmy my sami. Ponieważ w gruncie rzeczy – przynajmniej przez jakiś czas – to my będziemy budować te pancerniki i to my będziemy je obsadzać.

Mike wzruszył ramionami.

–Owszem, jestem. Jak już mówiłem, James, próbuję zyskać dla nas trochę czasu. I dla Gustawa Adolfa również, bo jeszcze dość długo nasze losy będą ze sobą związane.

Nichols położył splecione dłonie na kolanach, odchylił się na krześle i uśmiechnął się niewyraźnie.

–Chyba nieźle dałbyś sobie radę przy Sześćdziesiątej Trzeciej i Cottage Grove. Oczywiście kolor twojej skóry byłby pewnym utrudnieniem, ale znając ciebie, na to też byś coś poradził.

Mike wciąż się uśmiechał.

–W tych okolicznościach uznam to za komplement.

Nichols parsknął.

–W tych okolicznościach to *jest* komplement. Jedyną różnicą między przywódcami chicagowskich gangów a niemieckimi arystokratami jest to, że przywódcy gangów są z zasady bystrzejsi, a niemieccy arystokraci są z zasady bardziej zdradzieccy. Trzeba by rzucić monetą, żeby wybrać tych okrutniejszych.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Twarz Jamesa wciąż była ściągnięta troską, lecz po chwili Mike zorientował się, że ta troska nie dotyczy już spraw ogólnych, tylko czegoś znacznie bliższego sercu doktora.

–Dam ci znać, jak tylko dostanę od niej jakieś wieści – powiedział cicho. – Nic jej nie będzie, James. Dałem Ricie i Melissie wystarczająco dużo pieniędzy, żeby mogły wynająć naprawdę duży statek. A poza tym z Tomem i Julie na pokładzie każdego pirata, który spróbuje ich zaatakować, czeka przykra niespodzianka.

James uśmiechnął się. Julie Sims (teraz już Julie Mackay, odkąd wyszła za oficera szkockiej kawalerii w armii Gustawa Adolfa) była najlepszym strzelcem, jakiego kiedykolwiek widział. A niezależnie od tego, co James i Mike sądzili o Johnie Simpsonie, obydwaj bardzo lubili jego syna, Toma, który poślubił siostrę Mike’a tego samego dnia, w którym Ognisty Krąg zmienił cały ich świat. Lubili go szczególnie w tych okolicznościach, gdyż spośród różnych niebezpieczeństw, na które Melissa i Rita, mogły się natknąć podczas swej podróży dyplomatycznej do Anglii, z całą pewnością nie groził im atak rabusiów. Tom Simpson był prawdopodobnie jednym z dziesięciu największych ludzi na świecie. Nawet w Ameryce dwudziestego pierwszego wieku uchodził za olbrzyma – takiej postury można było oczekiwać od gracza pierwszej linii najlepszej uniwersyteckiej drużyny futbolowej.

Szybko jednak uśmiech zniknął z twarzy lekarza. Mike wiedział, że nie martwi się – przynajmniej niespecjalnie – piratami i rabusiami. Melissa i Rita będą miały do czynienia ze znacznie groźniejszymi ludźmi.

–Królowie, królewicze, kardynałowie, książęta – pożał się Boże – i pieprzeni hrabiowie – zagrzmiał Nichols. – Wszystkich trzeba by wystrzelać.

W uśmiechu Mike’a pojawiło się chyba nieco okrucieństwa. Taki bez wątpienia miał zamiar, widząc, że doktorowi przyda się trochę otuchy.

–To jeszcze nie jest wykluczone. I to w większości przypadków. Jak powiedziałem: bądźmy optymistami. Simpson może sobie być dupkiem, ale zna się na działach ciężkiego kalibru.

Rozdział 4

Hałas jak zawsze był potworny.

John Chandler Simpson nauczył się go tolerować, aczkolwiek wątpił, żeby kiedykolwiek do niego przywykł. Wiedział, że w roku Pańskim 1633 do wielu rzeczy nie będzie w stanie przywyknąć.

Na tę myśl parsknął z niezadowoleniem, brnąc przez olbrzymie kałuże błota, które z wyprawy do stoczni czyniły wręcz... przygodę. Kiedyś omijał podobne przeszkody, ale to było wtedy, gdy miał na sobie buty z dwudziestego pierwszego wieku, o które mógł dbać. To było też wtedy, gdy miał dostatecznie dużo energii, żeby trwonić ją na takie zmartwienia.

Parsknął ponownie z jeszcze większym niezadowoleniem. Wydawało mu się, że powinien odczuwać pewną satysfakcję z faktu, że ten dupek Stearns musiał wreszcie przyznać, że Simpson wie o czym mówi, gdy w grę wchodzi coś poważnego. I w gruncie rzeczy tak właśnie było. Jednak wszelką satysfakcję mącił fakt, że musiał liczyć się z tym, co myśli Stearns. Przyjmowanie rozkazów od prostackiego appalachijskiego „prezydenta”, który nigdy nie ukończył college’u, było dla człowieka o takich osiągnięciach jak Simpson pigułką nie do przełknięcia.

Nie żeby Stearns był skończonym idiotą. Miał przynajmniej tyle zdrowego rozsądku, żeby zauważyć, że Simpson ma rację w kwestii konieczności „zredukowania” hałasy najemników Gustawa Adolfa. Jak też pan prezydent krztusił się, próbując wymówić to słowo! W takiej chwili konieczność przekonywania go do czegokolwiek już nie była taka straszna. Ale mimo że zaaprobował sugestię Simpsona, nie chciał przyjąć jej konsekwencji – jeżeli Gustaw Adolf zamierza przeprowadzić redukcję, Amerykanie będą musieli mu to zrekompensować... nawet jeśli oznacza to odebranie zasobów przemysłowych niektórym ukochanym dzieciom prezydenta i spółki.

Co prawda musiał przyznać, choć z wielką złością, że Stearns miał rację, kładąc nacisk na zwiększenie siły roboczej w celu przetrwania tamtej pierwszej zimy. To oczywiście nie znaczy, że nie można było wymyślić czegoś lepszego, prawda?

Na razie sprawy układały się znacznie lepiej, niż Simpson zakładał w momencie, gdy zrozumiał, w jakim kierunku podąża Stearns ze swą nową konstytucją. Rzecz jasna, nie było gwarancji, że ten stan się utrzyma. W innych okolicznościach Simpson zapewne miałby ubaw, patrząc, jak Stearns próbuje opanować tę niemal anarchię, którą sam stworzył, obdarowując prawem wyborczym miejscowych Niemców i ich przybyłych kuzynów oraz powinowatych, gdy tylko przenieśli się na terytorium Stanów Zjednoczonych. Tubylcy po prostu nie mieli wpojonych wzorców myślenia, dzięki którym ten system funkcjonowałby równie sprawnie, jak niegdyś u nich w

kraju. Wydawało im się, że mają, ale większość z nich była nawet bardziej uzależniona od lawinowych wybuchów nieskrępowanego entuzjazmu niż Stearns i jego związkowe tępaki. A ich chory umysłowo odłam – uosabiany przez stronników Melissy Mailey i komitety korespondencyjne Gretchen Higgins – był jeszcze gorszy. Trudno przewidzieć, do jakich nieszczęść mogą doprowadzić. Oczywiście można by wszystkich uniknąć, gdyby tylko te prostaki miały tyle rozumu, żeby ograniczyć prawo wyborcze do tych osób, które pokazały, że będą wiedziały, co z nim zrobić.

Simpson dotarł do bramy stoczni, gdzie mógł już oderwać spojrzenie od błota, przez które się przedzierał. Wartownik uzbrojony w dubeltówkę stanął na baczność i zasalutował. Podobnie jak większość personelu wojskowego armii Stanów Zjednoczonych, wartownik był siedemnastowiecznym Niemcem. To dobrze, zauważył. Swobodne podejście do spraw militarnych, które reprezentowali rdzenni mieszkańcy Grantville – na czele z „generałem” Jacksonem – było jedną z rzeczy, których Simpson nienawidził u tych ludzi. Żaden z nich nie doceniał olbrzymiego znaczenia dyscypliny wojskowej lub też zwrotów grzecznościowych, które pomagają ją budować. Dla miejscowych rekrutów niuanse formalnego protokołu wojskowego też nie miały specjalnego sensu, lecz przynajmniej każdy, kto przetrwał koszmarny chaos panujący na siedemnastowiecznym polu bitewnym, rozumiał absolutną konieczność utrzymywania żelaznej dyscypliny. Poza placem boju mogli być gwałcicielami, mordercami i złodziejami. Ale pole bitwy to coś zupełnie innego – Simpson z zaciekawieniem obserwował, z jakim zapałem siedemnastowieczni oficerowie i podoficerowie akceptowali to, czego nadczasowi rodacy Simpsona nie byli w stanie pojąć, niezależnie od tego, jak bardzo starał się wbić im to do głów. Dyscypliny trzeba się nauczyć i pielęgnować ją zarówno na placu boju, jak i poza nim, jeśli się chce stworzyć naprawdę solidną zawodową armię. W tej konkretnej kwestii punkt widzenia Gustawa Adolfa pokrywał się dokładnie z jego własnym.

Odsalutował i wszedł na teren stoczni. Przystanął.

Za jego plecami leżał Magdeburg, który dźwigał się z gruzów w całuniecie pyłu, dymu, smrodu, wrzasków i ogólnego rozgardiaszu. Na działkach, których właściciele udało się ustalić, zazwyczaj stawiano tradycyjny mur pruski lub budynki z cegły; przeplatało się to z drewnianymi konstrukcjami szkieletowymi na parcelach, które przeszły na rzecz miasta. Przed nim roztaczał się widok na Łabę i inną tętniącą życiem krainę. Było tu tyle samo szaleństwa i jeszcze więcej zgiełku niż w chaotycznej odbudowie, która odbywała się za jego plecami, lecz w jego spojrzeniu widać było zaborczą dumę, która zaskoczyła trochę nawet jego samego. Choć w porównaniu z przedsiębiorstwami przemysłowymi, które niegdyś nadzorował, tu wszystko było nieudolne i sklecone na poczekaniu, to jednak była to jego własność. A biorąc pod uwagę środki, jakimi dysponował, to co udało mu się osiągnąć, było równie imponujące, jak zbudowanie jednego z lotniskowców klasy Nimitz w dawnych Stanach Zjednoczonych.

Ogłuszający jazgot, dym ze spalanego węgla i chmury trocin wydostawały się z napędzanego parą tartaku, zaprojektowanego i zbudowanego przez Nata Davisa. Ustawiona pionowo piła z mechaniczną precyzją cięła kłody na deski, które pracownicy tartaku ładowali na oczekujący wagon, kiedy tylko ostrze kończyło piłowanie. Tartak pojawił się dopiero niedawno, postanowiono bowiem nie zużywać nielicznych zasobów na budowę młyna wodnego albo wiatraka, który jako rozwiązanie przejściowe i tak w końcu zostałby rozebrany. Jeszcze dwa tygodnie wcześniej mężczyźni, którzy teraz układali deski, pracowali na staroświeckiej tracznicy, zagrzebani po uda w spadających trocinach, wytwarzając każdą deskę siłą własnych mięśni.

Za tartakiem inna ekipa pracowała przy walcierce zasilanej tym samym silnikiem parowym. Nie była ona specjalnie okazała, jeśli porównać ją z potężnymi maszynami w hutach z dwudziestego pierwszego wieku, ale w zupełności wystarczała na ich obecne potrzeby. Simpson patrzył z zadowoleniem, jak ekipa wyciąga z otwartego pieca kolejną odzyskaną szynę kolejową i wrzuca ją między walce. Stal, wciąż dymiąca i rozgrzana do czerwoności, wyłoniła się ze szczęk walcarki zmiażdżona na sztabę o grubości mniej więcej dwóch i pół centymetra i szerokości nieco ponad trzydziestu centymetrów. Gdy zjechała po kolejnym zestawie walców, zaczęły się unosić kłęby pary wytworzone przez hartownicze rozpylacze. Kolejni robotnicy nieśli już ochłodzone belki stalowe do następnego otwartego pomieszczenia, gdzie jeden z drogocennych przenośnych generatorów benzynowych napędzał pionową wiertarkę. Ciche wycie maszyny wiercącej w stali otwory na śruby ginęło w ogólnym jazgocie.

Simpson jeszcze przez chwilę stał i się przyglądał, następnie kiwnął głową z satysfakcją i ruszył w dalszą drogę do swego biura. Mieściło się ono pomiędzy dwiema pochylniami – w cieniu wiszących nad nim surowych prostokątnych płyt. Były szpetne, niedokończone i posępne, i nawet po ukończeniu budowy nikt nie powie, że są eleganckie. Johnowi Simpsonowi jednak to nie przeszkadzało. Bo gdy już będą ukończone, elegancja nie będzie odgrywała większej roli.

Kolejny wartownik pilnujący drzwi do biura stanął na baczność, gdy ujrzał swego przełożonego. Simpson odsalutował, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Poziom hałasu natychmiast się obniżył. Jego sekretarz już miał się podnieść z krzesła, gdy Simpson gestem nakazał mu siedzieć.

–Dzień dobry, Dietrich – powiedział.

–Dzień dobry, Herr Admiral – odparł sekretarz.

–Czy od wczoraj wydarzyło się coś istotnego?

–Nie, panie admirale. Ale przybyli Herr Davis i kapitan Cantrell.

W głosie sekretarza dało się słyszeć odrobinę współczucia. Admirał skrzywił się – jedynie przy nielicznych podwładnych pozwoliłby sobie na taki grymas, niezależnie od tego, co myślał o wizycie tej konkretnej pary. Publiczne okazywanie jakichkolwiek emocji mogło jedynie doprowadzić do nadszarpnięcia hierarchii służbowej, którą w pocie czoła udało mu się zbudować.

Dietrich Schwanhausser stanowił jednak wyjątek. W kwestiach administracyjnych człowiek ten był na wagę złota. Przywiązał się do komputera stojącego przed nim na biurku zupełnie jak ci nastoletni wariaci z dwudziestego pierwszego wieku... co w połączeniu z umiejętnością inteligentnego przewidywania, czego Simpson może potrzebować w następnej kolejności, czyniło z niego skarb, który warto było pielęgnować. Admirał od razu się na nim poznał, lecz mimo to zaskakiwał go poziom zażyłości, jaka między nimi powstała.

–Dziękuję za ostrzeżenie – powiedział cierpko, a usta Schwanhaussera lekko zdrząły, niemal wykrzywiając się w uśmiechu. Simpson skinął mu głową i przeszedł do gabinetu.

Było tam głośniejsze niż w przedsionku. W przeciwieństwie do miejsca pracy Schwanhaussera, gabinet Simpsona posiadał okno. Wychodziło ono na rzekę. Szyba nie była zbyt dobrej jakości, nawet jak na siedemnastowieczne standardy, ale wpuszczała do środka wystarczająco dużo światła i równocześnie pozwalała admirałowi oglądać swoje włosy. A fakt, że delikatnie podkreślała status osoby, której ścianę zdobiła, tylko działał na jego korzyść.

W gabinecie czekały na niego dwie osoby. Nat Davis był mężczyzną po czterdziestce, o stwardniałych dłoniach wykwalifikowanego robotnika i stopniowo rosnącej łysinie w miejscu, w którym niegdyś były ciemnobrązowe włosy. Nosił okulary. Zanim wydarzył się Ognisty Krąg, Nat żuł tytoń, lecz odkąd Grantville pojawiło się w Turyngii, zmuszony był z tym skończyć. Ów nawyk, w połączeniu z silnym akcentem mieszkańca Wirginii Zachodniej i bardzo powolnym sposobem wysławiania się, poprzedzonym uważnym dobieraniem wyrazów, sprawił, że admirał początkowo nie doceniał inteligencji Davisa. Człowiek ze wschodniego wybrzeża zdążył już jednak zmienić zdanie i ze znacznie większym niż dawniej szacunkiem skinął mechanikowi głową na powitanie.

Młodzieniec czekający wraz z Davisem był zupełnie innym przypadkiem. Eddie Cantrell dopiero za kilka miesięcy miał obchodzić swoje dwudzieste urodziny i teoretycznie mógł być zaprojektowany jako fizyczne przeciwieństwo Davisa.

Starszy mężczyzna był krępy i poruszał się w ten sam sposób, w jaki mówił – ze swoistą przemyślaną dokładnością, która zdawała się wykluczać jakąkolwiek spontaniczność. Simpson zorientował się, że ta pozorna ociężałość mogła sprawiać równie złudne wrażenie, jak sposób, w jaki dobierał słowa, lecz absolutnie nie było

nic złudnego w pewności, z jaką Davis przechodził od jednego do drugiego celu.

Tymczasem Eddie mógł mieć spontaniczność na drugie imię. Był rudowłosy i żylasty, a jego dłonie i stopy, wyraźnie za duże w porównaniu z resztą ciała, sprawiały wrażenie niedokończonych. Cała koncepcja dyscypliny była mu totalnie obca. Co gorsza, chłopak ten był pełen życia. Nie, to za mało. On tryskał energią. W nim aż *wrzało*. Emanował z niego entuzjazm i poczucie absolutnej pewności siebie, do którego zdolna jest tylko niedoświadczona młodzież. John Simpson doszedł do wniosku, że to dokładnie przemyślana zemsta Mike'a Stearnsa, który z premedytacją przydzielił Eddiego do stoczni. Fakt, że cały projekt powstał w wyniku jednego z wybuchów nieokiełznanego entuzjazmu Eddiego, dał prezydentowi idealne usprawiedliwienie dla obarczenia go tym młodzieńcem.

Dlatego też niebywałym zaskoczeniem dla Simpsona było to, że w gruncie rzeczy polubił tego nieznośnego natręta.

Bynajmniej jednak nie zamierzał mu tego oznajmiać.

–Dzień dobry, panowie – powitał ich i ruszył w stronę swojego biurka, przeciskając się przez ciasne pomieszczenie. Usadowił się na krześle i odchylił nieco do tyłu, żeby lepiej ich widzieć.

–Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Davis i Cantrell spojrzeli po sobie. W końcu Davis wzruszył ramionami, lekko się uśmiechnął i wykonał delikatny ruch dłonią.

–Chyba ja powinienem zacząć... panie admirale – odezwał się młodszy z nich. Chwila wahania przed „panie admirale” nie była celową pauzą. Simpson raczej nie miał co do tego wątpliwości. Był to jedynie kolejny dowód na to, że wpojone Eddiemu formy etykiety wojskowej były kompletnie obce jego naturze.

–Proponuję więc, aby pan to zrobił... kapitanie. – Pauza Simpsona *była* celowa i zauważył, że Eddie lekko zarumienił się z zadowolenia. Według jego przewidywań już za jakieś trzy, może cztery lata ów młody człowiek nabierze odpowiednich zwyczajów.

–Tak, panie admirale. – Eddie otrząsnął się. – Matthias właśnie złożył raport. Mówi, że baron von Bleckede wciąż jest... hm... uparty.

–Rozumiem. – Simpson odchylił się jeszcze bardziej na krześle i zmarszczył brwi. Matthias Schaubach był jednym z garstki rdzennych mieszkańców Magdeburga ocalałych po masakrze zgotowanej miastu przez najemników Tilly'ego. Przed tym koszmarnym wydarzeniem był mocno zaangażowany w handel solą w górę i dół Łaby, co sprawiło, że Amerykanie wykorzystywali go w charakterze doradcy we

wszelkich kwestiach dotyczących transportu na tej rzece.

Pomimo swych rozmiarów, a także znaczenia dla północnych Niemiec, Łaba miała długość odpowiadającą około jednej trzeciej długości Missisipi. Trudno określić, czy jej odcinek powyżej Magdeburga, ponad sto sześćdziesiąt mil morskich od Hamburga, można by nazwać „splawnym”. Żegluga barkami była możliwa, lecz rzeczono barki liczyły nie więcej niż dwanaście metrów długości, czyli znacznie mniej, niż potrzebowali Amerykanie. Pewne ulepszenia nawigacyjne były konieczne, żeby barki w ogóle mogły przepłynąć – a nie ulegało wątpliwości, że wkrótce niezbędne będą także inne zmiany.

Przez ostatnich kilka tygodni Schaubach podróżował w górę i dół Łaby, omawiając z miejscowymi owe „inne zmiany”. Istniejąca sieć *wehrluecken* była jakimś punktem wyjścia, lecz na tym się kończyło. *Wehrluecken* były to na dobrą sprawę tamy zbudowane w poprzek rzeki, mające pośrodku luki albo przelewy spływowe, szersze niż maksymalna szerokość barki. Tama podnosiła poziom wody dostatecznie wysoko, żeby można było splawiać barki, przelew zaś umożliwiał barkom przedostanie się przez zaporę. Niestety żadna z istniejących *wehrluecken* nie odpowiadała potrzebom Simpsona, a przerabianie ich zakrawało na jedną z prac Heraklesa. Groziło to też poważnym utrudnieniem normalnej żeglugi i właściciele istniejących *wehrluecken* nie byli specjalnie zachwyceni taką wizją. Podobnie Gustaw Adolf; w jego nowym środkowoeuropejskim cesarstwie Łaba pełniła funkcję rdzenia kręgowego.

Właściciele *wehrluecken* zazwyczaj słuchali głosu rozsądku, gdy tylko Schaubach zaczynał obrazowo przedstawiać wizję żeglugi, jaka będzie się odbywała na rzece po ulepszeniu całej infrastruktury i rozpoczęciu produkcji amerykańskich łodzi parowych. Gdy to nie skutkowało, zwykle zdawała egzamin subtelna wzmianka o armii szwedzkiej, połączona ze spostrzeżeniem, że Gustaw Adolf bardzo liczy na ich współpracę.

Niektórzy byli jednak bardziej uparci. Na przykład drobny arystokrata, baron von Bleckede. W gruncie rzeczy Simpson współczuł temu człowiekowi, ale bynajmniej nie ucieszył się z wieści od Eddiego.

–Jak mniemam, pan Schaubach nie składałby raportu, gdyby uważał, że może jeszcze wpłynąć na zmianę decyzji Bleckedego? – powiedział po chwili.

–Nie wydaje się, żeby miał na to szanse – przytaknął Eddie. Skrzywił się. – Wygląda na to, że von Bleckede niezbyt się nami przejmuje. I Szwedami też nie.

–To mnie nie dziwi – odparł Simpson. – Trudno go za to winić.

Uśmiechnął się beznamiętnie na widok oburzenia, które przemknęło po twarzy

Eddiego. Zastanawiał się, czy nie rozwinąć tematu. Nie zaszkodziłoby przypomnieć Eddiemu, że elita z czasów poprzedzających Ognisty Krąg miała niezliczone powody ku temu, by obawiać się wstrząsu, do jakiego mogłoby dojść w wyniku naruszenia status quo. Jak tylko Eddiemu chciało się pomyśleć, to oczywiście doskonale to rozumiał. Tylko że jemu się nie chciało. Lub raczej: był zbyt pochłonięty rozwalaniem przeszkód, żeby przejmować się tym, co było przyczyną ich powstania. A gdy Simpson o nich napomykał, wtedy młody zapaleniec tylko umacniał się w swoim przekonaniu o „reakcyjnych” poglądach admirała.

–No cóż – kapitan odezwał się z nieco większą niecierpliwością niż zazwyczaj, jak gdyby chciał potwierdzić zdanie Simpsona – niezależnie od tego, czy go za to winimy, czy nie, wciąż musimy dostać zezwolenie, żeby nasze ekipy mogły rozpocząć prace nad jego *wehrluecke*. Żaden pancernik nie przedostanie się przez tę szczelinę, nawet jeśli zupełnie opróżnimy zbiorniki balastowe.

–Zgadza się, nie przedostanie się – przyznał mu rację Simpson. Uważał, żeby tego po sobie nie pokazać, lecz w głębi duszy zrobiło mu się miło, gdy Eddie wspomniał o zbiornikach balastowych. Cały projekt pancerników narodził się dzięki wielkiej pasji Eddiego, jaką były gry wojenne. To właśnie on ułożył stertę książek na rogu biurka Mike’a Stearnsa i rozbudził w nim wielki entuzjazm na myśl o opancerzonych parowcach, które patrolują rzeki. Rzecz jasna, tym oryginalnym i szaleńczym koncepcjom potrzebne było spojrzenie dorosłego człowieka, jednak sam zarys projektu w chwili, gdy został po raz pierwszy omówiony i zatwierdzony, opierał się na jego własnych pomysłach udoskonalenia modeli z czasów wojny secesyjnej. Skromnie licząc, w owym projekcie Simpson doszukał się nie więcej niż dwudziestu-trzydziestu uchybień... czego należało oczekiwać w sytuacji, gdy pasjonat stara się przenieść w rzeczywisty świat informacje rodem z gier.

Gdy już Simpson i Greg Ferrara skończyli obliczać wyporność, okazało się, że w projekcie Eddiego przy minimalnym ładunku statek będzie miał zanurzenie co najmniej trzy i pół metra. To byłoby zbyt dużo nawet na Missisipi, a co dopiero na Łabie. Pojazd był też wystarczająco opancerzony, żeby wytrzymać ostrzał dziewiętnastowiecznych dział, takich jak piętnastocalowa artyleria gładkolufowa używana podczas wojny secesyjnej, a nie zdecydowanie bardziej anemicznych dział z siedemnastego wieku. Co gorsza, Eddie domagał się pojedynczej śruby. Jego zamierzenia były ze wszech miar godne pochwały, chciał bowiem zaoszczędzić na osłonie koła łopatkowego, która nie tylko ograniczyłaby ilość miejsca do zamontowania uzbrojenia, lecz równocześnie wymagałaby jeszcze większego zainwestowania w pancerz. Biorąc pod uwagę, że musieli walczyć jak lwy z osobami pokroju Quentina Underwooda o każdą odzyskaną szynę kolejową, nie było to bez znaczenia.

Odpowiednie zaprojektowanie śruby napędowej okazało się znacznie trudniejszym zadaniem, niż się Eddiemu kiedykolwiek wydawało. Simpson wiedział o tym – tuż

przed tym, nim znalazł się w Pentagonie, był członkiem zespołu projektowego, który opracowywał systemy napędu dla okrętu podwodnego typu „Seawolf”. Odsłonięta zewnętrzna śruba oraz wał napędowy byłyby narażone na uszkodzenia, gdyby któryś ze statków osiadł na mieliźnie, co w końcu było nieuniknione w przypadku ciężkich i pokracznych łodzi opancerzonych pływających po wodach śródlądowych. A zamontowanie pojedynczego napędu oznaczałoby, że jakiegokolwiek uszkodzenie śruby będzie równoznaczne z unieruchomieniem jednego z ich cennych pancerników.

Dlatego właśnie Simpson zmusił Stearnsa do udostępnienia mu wysokoprężnych zespołów napędowych z czterech olbrzymich węglarek, które pierwotnie wykorzystywano w charakterze transporterów opancerzonych. Paliwo do silników transporterów wciąż było dostępne, choć w niewielkich ilościach, lecz gdy Underwood upora się wreszcie ze swym polem naftowym, przestanie to być jakimkolwiek problemem. Zwłaszcza że Stearns zgodził się oddać pierwszeństwo marynarce wojennej.

Z silnikami w dłoni – mówiąc w przenośni – Simpson zbudował dalece zmodyfikowaną wersję oryginalnej koncepcji Eddiego, która wykorzystywała potężne pompy napędzane silnikami wysokoprężnymi, wygrzebane z kopalni w Grantville, zapewniając jej napęd strugowodny. Pompy miały wystarczającą moc, żeby bez żadnych uszkodzeń pożreć większość niewielkich odpadków, a sita przykrywające wloty chroniły je przed czymś większym. Z logistycznego punktu widzenia stosowanie silników wysokoprężnych jeszcze bardziej uzależniało łodzie od bazy przemysłowej Grantville – w krytycznej sytuacji nie było możliwości napędzania ich węglem lub drewnem, co było wykonalne przy konstrukcji parowej. Z drugiej jednak strony zbiorniki paliwa były bezpiecznie umieszczone pod powierzchnią wody i gdyby przypadkowy pocisk jakimś cudem zdołał przebić się do wnętrza któregoś z pancerników, nie trzeba już było obawiać się, że praktyczny kocioł wypełniony aktywną parą ugotuje żywcem całą załogę.

Pozostałe dwie zmiany, jakie wprowadził do projektu Eddiego, to obcięcie grubości pancerza o połowę i dodanie zbiorników balastowych. Redukcja pancerza umożliwiła zbudowanie dodatkowej łodzi z szyn przeznaczonych dla całego projektu i zmniejszyła wyporność, ale zbiorniki były równie istotne. Oryginalny „Monitor” miał niewielką wolną burtę, żeby zminimalizować powierzchnię ostrzału, lecz w tym projekcie to już nie było możliwe. Ponieważ w tym momencie nie można było zaprojektować porządnej wieżyczki, nie mieli innego wyjścia, niż mniej lub bardziej tradycyjne burtowe ustawienie dział – co upodabniało statek do „Merrimacka”... bądź też (co Eddie podkreślał tonem pełnym rozpaczki) do „Virginii”. To tłumaczyło pancerz z wielkich płyt i ogólnie niezgrabny wygląd. To także wiązało się z głębszym zanurzeniem niż w przypadku pierwowzoru. Simpson wbudował zbiorniki balastowe, które po napełnieniu sprawiały, że statek „zanurzał się” do walki. W ten sposób stworzył projekt blisko pięciusettonowego okrętu, który zanurzał się na nieco ponad

metr przy opróżnionych zbiornikach i na trzy metry przy zbiornikach napęcznionych. To pozwalało zaoszczędzić jakieś półtora metra dla opancerzonej burty, która przy zanurzeniu miała być pod osłoną wody.

Początkowo Eddie miał zamiar stroić fochy, widząc, jak Simpson przerabia jego projekt. Na całe szczęście był w stanie dostrzec, że te zmiany faktycznie stanowią ulepszenie, i właśnie dlatego na osobiste życzenie Simpsona (który wątpił, żeby młodzieniec zdawał sobie z tego sprawę) przydzielony został do marynarki wojennej. Stearns już zresztą zdążył wysłać go do Magdeburga, żeby nadzorował projekt, więc admirał i tak nie mógł się go pozbyć. A w marynarce potrzebni byli ludzie potrafiący myśleć. Wbrew pozorom było ich znacznie mniej, niż mogło się wydawać, a doświadczony Simpson bezbłędnie zauważył elastyczność, z jaką chłopak przyjął to, że ktoś inny ulepszył jego własne dziecko. Połączył więc przyjemne z pożytecznym... i tak oto zarówno Eddie, jak i jego przyjaciel Larry Wild błyskawicznie zostali mianowani kapitanami marynarki wojennej Johna Simpsona.

A jeśli przy okazji mógł zatriumfować nad Mike'iem Stearnsem, to tym lepiej.

–Na szczęście – kontynuował po chwili – przekonanie barona do współpracy z nami tak naprawdę nie jest naszym zmartwieniem. Jeśli pan Schaubach czuje, że nie jest w stanie przemówić von Bleckedemu do rozumu, odeślijcie go do pana Piazzę. – Na widok zmarszczonych brwi Eddiego po raz kolejny uśmiechnął się, tym razem bardziej beznamiętnie niż kiedykolwiek. Ed Piazza, sekretarz stanu, został wybrany przez Stearnsa na swojego przedstawiciela w rozmowach ze wszystkimi pomniejszych lokalnymi arystokratami, którzy nie byli warcami osobistego zainteresowania głowy państwa.

–To zajmie trochę czasu – zaczął Eddie – i...

–Być może – przerwał mu Simpson – ale takie rzeczy należą do obowiązków sekretarza stanu. Albo każcie uporać się z tym kanclerzowi Gustawa, Oxenstiernie. Mamy ważniejsze sprawy na głowie, niż użeranie się z jednym podrzędnym arystokratą, który nie chce nas zrozumieć. Poza tym – czy się nam to podoba, czy nie – minie jeszcze sporo czasu, zanim będziemy musieli płynąć aż tak daleko w dół rzeki, zgadza się?

Eddie wyglądał tak, jakby miał zaraz wybuchnąć, ale Simpson już się do tego przyzwyczaił. Bardziej liczył się dla niego fakt, że chłopak zwalczył to w sobie i ostatecznie pozwolił sobie tylko na jeden mały grymas.

–A więc – kontynuował Simpson – czy jeszcze czegoś potrzebujecie, kapitanie?

–Nie, chyba już nic... panie admirał.

–Świetnie. – Simpson odwrócił się do Davisa. – A panu, panie Davis, czym mogę

służyć? – zapytał.

–Właściwie chciałem pana powiadomić, że Ollie twierdzi, że do końca tygodnia powinien być w stanie wysłać nam sześć pierwszych luf.

–Świetnie!

Simpson nie zdawał sobie sprawy, jak ten autentyczny entuzjazm odmienił jego twarz. Trwało to jedynie chwilę, lecz Davis zdążył to zauważyć. Często myślał, że to wielka szkoda, że Simpson jest kompletnie pozbawiony „słuchu”, gdy w grę wchodzi tak błahе kwestie, jak relacje międzyludzkie. Osobiście Davis wciąż uważał go za palanta, szczególnie jeśli chodzi o politykę, i niezbyt przejmował się obsesją „admirala” na punkcie hierarchii – czy to społecznej, czy wojskowej – i wszelkich idących za nią wymogów. Wiedział jednak, że niezależnie od tego, jak bardzo uciążliwa jest osobowość Simpsona, nie można mu odmówić rozumu. I to całkiem dobrego rozumu, jeśli tylko udało się go oderwać od takich spraw, jak polityczne spory z Mike’iem Stearnsem.

Pomijając fakt, że Nat przyznawał to z olbrzymią niechęcią (a była to naprawdę olbrzymia niechęć), doświadczenie, jakie Simpson zdobył jako oficer nadczasowej marynarki Stanów Zjednoczonych, było widoczne gołym okiem, gdy się patrzyło na strukturę tworzoną przez niego w Magdeburgu. Nadczasowcy znajdujący się pod jego komendą mogli zrzedzić, narzekać i mamrotać nienawistnie coś o „fiutach z zarządu,” lecz Davis w końcu zauważył, że w tym szaleństwie rzeczywiście jest metoda. Rzecz jasna, czasami pracownik warsztatu zastanawiał się, jak wielki wpływ miał fakt, że Simpson lepiej od swych rodaków zdawał sobie sprawę z tego, co jest potrzebne, a ile wynikało z jego ogromnego pragnienia zbudowania imperium. Jakiegokolwiek jednak kierowały nim pobudki, prawda była taka, że marynarka Simpsona była znacznie lepiej zorganizowana i znacznie szybciej przybierała formę profesjonalnej organizacji niż wojsko Franka Jacksona.

Zbyt wielu starszych oficerów Jacksona było nadczasowcami i dlatego zachowywali się zarówno wobec niego, jak i wobec siebie samych zupełnie jak cywile. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby chodziło tylko o nich – wszyscy dobrze się znali, a ich wzajemne relacje, choć bardzo poufale, sprawdzały się. Rdzeń armii stanowiło Amerykańskie Stowarzyszenie Górników. Davis nie był przekonany, czy przykład takiej postawy dobrze wpłynie na osoby spoza szeregów ASG, które awansują w hierarchii. W przeciwieństwie do Franka Jacksona, Simpson nie opierał się na żadnej istniejącej strukturze. On tworzył marynarkę zupełnie od podstaw. Jego personel niemal w stu procentach składał się z siedemnastowiecznych Niemców i Szwedów; nadczasowców było tylko tylu, ilu było potrzebnych z uwagi na umiejętności techniczne, których świeżo upieczeni Amerykanie nie zdążyli jeszcze osiągnąć. A to była już zupełnie inna para kaloszy.

Davis bynajmniej nie czuł przez to większej sympatii do Simpsona, ale musiał przyznać, że ten człowiek ma jednak pewne cechy, które zasługują na uwagę. I dlatego właśnie sądził, że to wielka szkoda, że Simpson tak uporczywie nie chce (a może nie jest w stanie) okazać entuzjazmu, choć Davis widział, że jest wielce zadowolony ze swego obecnego zadania. Zamiast tego Simpson notorycznie sprawiał wrażenie osoby, która podjęła się tego „ciężkiego obowiązku”, bo szlachectwo zobowiązuje i musi ocalić prymitywnych appalachijskich kmotków przed skutkami ich własnej ignorancji. I to właśnie – bardziej niż jakiegokolwiek różnice polityczne – tłumaczyło wrogość, którą iście po mistrzowsku wywoływał w tych członkach amerykańskiego rządu, z którymi miał do czynienia.

„Bogu dzięki, że jesteśmy w Magdeburgu – pomyślał cierpko Nat. – Gdybyśmy mieli bazę w Grantville, co wtorek ktoś wyzywałby Simpsona na pojedynek”.

–Użyjemy drutowania czy oblejemy brązem? – zapytał Cantrell. Simpson skarcił go wzrokiem za przerywanie, ale nie odezwał się ani słowem. Davis zauważył, że Simpson pozwala młodzieńcowi na znacznie więcej swobody niż komukolwiek innemu. Zastanawiał się, czy sam Eddie jest tego świadom.

–Drutowanie, przynajmniej dla pierwszej szóstki – odpowiedział Nat. – Elektrownia ma wystarczająco dużo dwunastocalowych rur typu „Schedule 160” na lufy dla wszystkich szesnastu gwintowanych dział, a rozplątaliśmy tyle liny stalowej, że mamy mnóstwo drutu.

Zarówno Simpson, jak i Eddie skinęli głowami. Dwunastocalowa rura typu „Schedule 160” miała wewnętrzną średnicę o długości nieco ponad dwudziestu centymetrów i ścianę o grubości mniej więcej trzech centymetrów. To w zupełności wystarczało na lufę dziesięciocalowego działa, a przy potencjale obróbczym Grantville nagwintowanie luf nie stanowiło najmniejszego problemu. Pozostawała jeszcze kwestia wzmocnienia. W oryginalnej elektrowni w Grantville często panowało dość wysokie ciśnienie, ale nijak się ono miało do ciśnienia, jakie powstawało wewnątrz lufy czarnoprochowego działa!

Zaproponowano dwa konkurencyjne rozwiązania. Jedno polegało na wzmocnieniu luf przez owinięcie ich kokonami ze stalowego drutu, którego akurat było pod dostatkiem, odkąd w kopalni znaleziono szpule stalowej liny. Ręczne rozplatanie liny w celu oddzielenia pojedynczych żyłek drutu było zadaniem bardzo żmudnym i pracochłonnym, jednak gdy już zapadła decyzja o wsparciu projektu pancerników, siła robocza została udostępniona.

Drugie rozwiązanie polegało na oblaniu luf brązem. Pod pewnymi względami było to rozwiązanie łatwiejsze. Działa byłyby nieco cięższe, lecz potrzebna do tego technologia była już znana siedemnastowiecznym metalurgom. Same lufy mogłyby również lekko się odkształcić w trakcie procesu oblewania – Davis jednak nie sądził,

żeby to odkształcenie mogło prowadzić do jakichkolwiek nierozwiązywalnych trudności. I tak zamierzano dokonać we wszystkich lufach ostatecznego odwiertu, żeby ujednoczyć ich wymiary.

–Przypuszczam, że dopóki nie będziemy mogli zrobić odlewu tutaj na miejscu, będą zmuszeni wysłać gotowe armaty drogą lądową. Ekipy odlewnicze są teraz bardzo mocno zaangażowane w projekty artylerii polowej i karonad. Uwzględnili niższą wagę, co ma istotne znaczenie dla transportu, i zdecydowali się na drut.

–Jeśli tylko będą trzymali się grafiku, to nie obchodzi mnie, którą opcję wybiorą – oznajmił Simpson.

–Jasne – przytaknął Eddie, lecz na twarzy miał grymas. – Wciąż uważam, że powinniśmy zdecydować się na produkcję broni odtylcowej. Nasza szybkostrzelność będzie śmiechu warta.

–Podjęto już decyzję, kapitanie – zauważył chłodno Simpson. Po chwili odrobinę ustąpił. – Sam bym wolał broń odtylcową – dorzucił – ale komisja przydziałowa miała rację. Brakuje nam zasobów na to, co musimy zrobić, a broń odprzodowa załatwi sprawę. Zwłaszcza z hydraulicznym systemem odrzutu.

Wzruszył ramionami. Eddie skinął głową w sposób, którego nikt nie określiłby mianem radosnego, jednak nie widać było śladu prawdziwego sprzeciwu.

–Przynajmniej dzięki niemu będzie można bezpiecznie załadować działo pod pokładem – westchnął.

–Szczególnie w świetle pańskiej sugestii obsługiwanie furt za pomocą tego samego systemu – przyznał mu rację Simpson.

Nat wiedział, że Eddie wciąż uważa się za niezłomnego zwolennika rządów Stearnsa, a tym samym – niejako z definicji – za naturalnego wroga wszystkiego, co jest związane z Johnem Chandlerem Simpsonem. Mimo to zauważył błysk satysfakcji w szarych oczach rudzielca w chwili, gdy Simpson go docenił. On sam natomiast wciąż był zdumiony – nie dość, że Simpson miał dla nich uznanie, to jeszcze otwarcie do tego się przyznawał.

Podobnie jak kilka razy wcześniej, Davis zaczął się zastanawiać, czy dla starszego z rodu Simpsonów konflikt z własnym synem nie był jednak bardziej bolesny, niż kiedykolwiek publicznie okazywał. Jeśli tak, to może w jakiś przedziwny sposób John Simpson traktował młodego i bezczelnego Eddiego Cantrella – a także jego przyjaciela Larry'ego Wilda – jak kogoś w rodzaju zastępczych synów.

Trudno powiedzieć. Niezależnie od wszelkich talentów Johna Simpsona, „wrażliwość osobista” znajdowała się gdzieś na samym dole listy. Nat nieznacznie

pokręcił głową i ponownie skupił się na bieżących sprawach.

Projekt mocowania dział, na który ostatecznie zdecydowali się Davis i Ollie Reardon, za żadne skarby nie przeszedłby w dwudziestym pierwszym wieku, ale dla ich obecnych potrzeb wydawał się satysfakcjonujący. Po każdym strzale działo gwałtownie szarpało w tył, następnie automatycznie blokowało się z lufą schowaną pod pokładem, gdzie było czyszczone i przeładowywane, aż wreszcie przesuwano dźwignię zwalniającą i cylindry hydrauliczne wypychały działo z powrotem do baterii. Po wprowadzeniu w życie pomysłu Eddiego i zastosowaniu podnoszonych furt pancernych dla otworów strzelniczych, a także pręta łączącego każdą okiennicę z lawetą odpowiadającej jej armaty, ten sam system hydrauliczny odpowiadał za otwieranie otworów strzelniczych i zamykanie ich wtedy, gdy zajmowano się bronią.

–A co z karonadami burtowymi i drewnianymi pancernikami? – zapytał Simpson.

–Będą zgodnie z grafiką – zapewnił go Davis. – A ekipa w Lubece mówi, że za jakieś cztery-pięć tygodni będą gotowi, żeby na miejscu robić odlewy karonad dla Gustawa. Wczoraj dostaliśmy od nich wiadomość radiową.

–Byleby tylko nie zabierali zasobów naszemu projektowi – mruknął kwaśno Simpson. – To monstrum, którego zażyczył sobie Gustaw, kosztowało nas już wystarczająco wiele trudu.

–Chyba nie powinno nas to dziwić – zauważył Eddie z szerokim uśmiechem. – Parę lat przed Ognistym Kręgiem zebrałem do jednej gry trochę materiałów o siedemnasto- i osiemnastowiecznej marynarce i okazało się, że zaledwie kilka lat temu Gustaw zbudował taki naprawdę olbrzymi galeon. Miał to być największy i najgroźniejszy okręt wojenny na całym Bałtyku. Nazwał go na cześć dynastii Wazów.

–Serio? – Davis spojrzał na niego i uniósł brew. – Po twojej minie widzę, że tamten projekt nie był do końca udany.

–Można to tak ująć – zachichotał Eddie. – To badziewie poszło na dno już w samym porcie. Chyba ktoś się nieco pomylił w obliczeniach stabilności.

–Cudownie – parsknął Simpson. – To chyba nie jest najlepsza rekomendacja ich ostatniego projektu, zgadza się?

–Myślę, że teraz będą już bliżej sukcesu... panie admirale. – Eddie ponownie się uśmiechnął. – Inżynierowie króla o mały włos nie pożarli moich egzemplarzy książek Chapelle'a o projektach amerykańskich żaglowców. Nie ma tam nic o pancernikach, ale ten projekt korwety, na którym się skupili, powinien bez problemu utrzymać pancerz. Szczególnie przy obniżeniu wagi dział.

–Absolutnie nie wątpię w to, że ów projekt jest wykonalny, kapitanie – powiedział

Simpson. – Czy praktyczny... to już zupełnie inna kwestia. To jest żaglowiec. Oznacza to, że wciąż będą musieli mieć załogę na pokładzie, żeby stawiać żagle, a to chyba jednak będzie taka maciupeńka szczelinka w ich osłonie.

–No racja – przytaknął Eddie. – Oczywiście opancerzone nadburcia powinny trochę pomóc.

–Trochę. Tymczasem jednak kierujemy wysiłki na zbudowanie w Lubece prawdziwej walcowni.

–Może i tak – odparł Davis – ale będzie produkowała żelazo, a nie stal. A poszczególne płyty i tak nie będą o wiele większe od naszych. – Uśmiechnął się szeroko. – Szczerze mówiąc, z miłą chęcią pozwolę im bawić się w realizację ich własnego projektu, jeśli my w tym czasie zajmiemy się budową naszego.

–Może to słuszna uwaga – odparł Simpson. Chwilę kiwał się na fotelu, myśląc o tym, co usłyszał od Eddiego i Nata. Przynajmniej nie grożą im kolejne obsunięcia w planie produkcyjnym. Po raz kolejny zastanowił się, czy nie dać pierwszeństwa drewnianym pancernikom. Byłyby znacznie mniejsze, uzbrojone tylko w karonady o dość krótkim zasięgu i osłaniane jedynie wyjątkowo grubym i ciężkim „pancerzem” z drewna. Ponadto miały być napędzane kołami łopatkowymi umieszczonymi między kadłubami, a z kolei ich napęd byłby parowy. Tak czy inaczej, te znacznie prostsze projekty byłyby dostępne w większej liczbie i miałyby wyraźnie mniejsze zanurzenie niż tradycyjne pancerniki, nawet ze zbiornikami balastowymi.

Dlatego dręczyły go wątpliwości, czy nie powinien nalegać na szybsze ukończenie prac. W końcu potrzebne im były zwyczajne statki, które po prostu spełnią swoje zadania, a nie najwspanialsze na świecie konstrukcje. W czasach, gdy służył w marynarce, zdarzało mu się widzieć wiele niefortunnych demonstracji, kiedy to ekipa upierała się, żeby dobudować wszelkie możliwe fajerwerki!

Po raz kolejny nakazał swym wątpliwościom się zamknąć. Bez wątpienia było w tym trochę racji, jednak warto też było zbudować kilka naprawdę dobrych jednostek, które byłyby wspierane przez drewniane pancerniki. I nawet jeśli tkwił w tym element tak pogardzanego przez Simpsona tworzenia imperium (choć równocześnie sam pochłonięty był tworzeniem swego własnego małego imperium politycznego), to trudno.

–To chyba wszystko, panowie – odezwał się. – Panie Davis, byłbym wdzięczny, gdyby skontaktował się pan osobiście z miejscowymi kowalami. Przypuszczam, że naszym kolejnym wąskim gardłem będzie produkcja śrub. Wytwarzanie pancerza nie będzie miało wielkiego sensu, jeśli nie będziemy w stanie przymocować go do kadłubów! Chciałbym, żeby się pan o to zatroszczył.

Davis skinął głową i Simpson odwrócił się do Eddiego.

–Teraz pan, kapitanie. Według Dietricha jest problem z mocowaniem dział burtowych w Trójce. Nie bardzo wie, o co może chodzić. Chciałbym, żebyście skontaktowali się z brygadzystą i uzyskali wszelkie możliwe informacje. Jeżeli uznacie, że poradzicie sobie z tym sami, to proszę bardzo. Gdyby była konieczna pomoc, jestem przekonany, że pan Davis z miłą chęcią się tego podejmie.

–Tak jest, panie admirale – powiedział Eddie. – Już się do tego biorę.

–Dobrze. W tej sytuacji, panowie, możecie odmaszerować.

Davis skinął głową, a Eddie stanął na baczność (albo przynajmniej – uznał Simpson – było to coś bardziej zbliżonego do stania na baczność niż zazwyczaj), po czym obaj odwrócili się i skierowali do wyjścia.

–Jeszcze jedno – zatrzymał ich tuż przed drzwiami, a gdy się odwrócili, uśmiechnął się lekko do Eddiego. – O mało co zapomniałem. Może pana zainteresuje, kapitanie, że prezydent i Kongres zaakceptowali pańskie propozycje nazw dla pancerników.

–Naprawdę? To wspaniale! – Eddie uśmiechał się od ucha do ucha.

–Owszem, naprawdę. Jedyńka będzie się nazywać „Constitution”. Dwójka – „United States”. Trójka – „President”, a Czwórka – „Monitor”. Mniemam, że spełnia to pańskie oczekiwania?

–No jasne! – odparł z zapalem Eddie, po czym się zreflektował. – To znaczy oczywiście, że tak, panie admirale.

–To wspaniała wieść – powiedział oschle Simpson. – Odmaszerować, panowie.

Rozdział 5

–Mam! – wykrzyknął niespodziewanie Gustaw Adolf. – Złóżmy im wizytę!

Axel Oxenstierna, stojący tuż obok niego przy otwartym oknie nowego pałacu z widokiem na serce Magdeburga, otworzył szeroko oczy. Spoglądał na jeden z budynków, które ostatnio wzniesiono w mieście. A konkretnie: piorunował go wzrokiem. I to bardziej specyficzną ornamentykę niż sam budynek.

Niemal każda budowla w Magdeburgu była nowa albo prawie nowa. Dwa lata wcześniej, w trakcie długiej, pełnej potworności wojny, bawarscy żołnierze Tilly'ego splądrowali miasto. Zamordowano większość mieszkańców – jakieś dwadzieścia-trzydzieści tysięcy ludzi, w zależności od tego, kto o tym opowiadał – a sam Magdeburg puszczono z dymem. Mało co uchowało się przed grabieżą, gdy armia Tilly'ego w końcu opuściła miasto.

Tymczasem już od miesiący (począwszy od decyzji Gustawa Adolfa, który ubiegłej jesieni ustanowił Magdeburg stolicą swego nowego królestwa zwanego Konfederacją Księstw Europejskich) w mieście wrzało jak w ulu. Nikt nie znał całkowitej liczby ludności, ale Oxenstierna nie miał wątpliwości, że przekroczyła ona już trzydzieści tysięcy. Ludzie z całych środkowych Niemiec – a nawet spoza nich – dosłownie zalewali miasto, aby wykorzystać szanse, jakie im stwarzało. Wszędzie powstawały wszelkiego rodzaju konstrukcje: nowe posiadłości, rzecz jasna, – w tym także nowy pałac cesarza, w którym Oxenstierna właśnie przebywał – lecz również przedziwnie wyglądające fabryki wzdłuż brzegów Łaby, które zaprojektowali amerykańscy poddani Gustawa. Z miejsca, w którym stał, Axel był w stanie dostrzec fabrykę okrętów, gdzie John Simpson i jego ludzie budowali nowe opancerzone łodzie.

„Poddani – pomyślał kwaśno Oxenstierna. – To tak, jakby nazywać wilka»pieskiem«tylko dlatego, że na chwilę pozwolił sobie założyć obrozę. Ze sznurkiem zamiast smyczy i bez kagańca”.

–Chyba żartujesz – warknął. – Gustawie, ty przecież nie mówisz poważnie.

Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na swego władcę. Postura Gustawa II Adolfa – tudzież Gustavusa Adolphusa w wersji zlatynizowanej – dorównywała jego pozycji w świecie. Król Szwecji i cesarz Konfederacji Księstw Europejskich był olbrzymim mężczyzną. Mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt, był szeroki w barach i mocno umięśniony. Warstwy tłuszczu, które nieuchronnie pokrywały jego ciało zawsze wtedy, gdy król nie brał udziału w wyczerpujących kampaniach, tylko dodawały powagi jego postaci.

–Chyba żartujesz – powtórzył kanclerz, tym razem już niemal błagalnie.

Gustaw wzruszył ramionami.

–Czemu niby miałbym żartować?

Pochylił twarz okoloną krótkimi jasnymi włosami i zwieńczoną kozią bródką, która łączyła się z grubymi wąsami. Jego potężny haczykowany nos zdawał się wycelowany wprost w obraźliwą konstrukcję poniżej.

–To są moi poddani, Axelu, nawet jeśli... – Zaśmiał się tubalnie. – Przyznaję, że te łajdaki zdają się kompletnie tą zależnością nie przejmować. Ale chciałbym ci przypomnieć, że ani razu – ani razu, Axelu – otwarcie się nie zbuntowali.

–Nie, otwarcie nie – przyznał kanclerz. Z kwaśną miną przyglądał się osobliwym bliźniaczym łukom, które zdobiły odległy gmach. Były jasnozłotego koloru, co sprawiało, że wyróżniały się spośród szarości otaczających budynków. Zwłaszcza że ta szarość należała głównie do okolicznych fabryk.

Przypuszczalnie właśnie ten kolor irytował Oxenstjernę bardziej niż cokolwiek innego. Częściowo dlatego, że jego jaskrawość, odznaczająca się na tle nowo wzniesionych burych fabryk i warsztatów, podkreślała ów niezwykle fakt, że te przekłete komitety korespondencyjne praktycznie zawsze znajdowały chętnych słuchaczy wśród klasy robotniczej, gwałtownie wyrastającej w środkowych Niemczech. A już szczególnie gwałtownie w Magdeburgu.

Głównie jednak irytowało go to, że złota farba była naprawdę droga.

Konsekwencje całej tej sytuacji nie dawały Oxenstjernie spokoju. W królestwach zdarzało się, że wśród części populacji pojawiały się niepokoje i radykalne poglądy. Nie było w tym nic niezwykłego. Od dwóch wieków Europę trawiły okresowe wybuchy masowego niezadowolenia – a nawet rebelie. Ruch *comuneros* zatrzęsł nawet posadami hiszpańskiego królestwa Karola V, Holendrzy całkowicie pozbyli się Habsburgów, zaś w poprzednim stuleciu Cesarstwem Niemieckim wstrząsnęły Wojna Chłopska i zajęcie Münster przez anabaptystów. Nawet Szwedzi miewali własne niepokoje społeczne, takie jak powstanie chłopskie pod wodzą Nilsa Dacke, które miało miejsce sto lat wcześniej.

Większość tych rebelii była jednak łatwa do stłumienia. Powstańcy z zasady stanowili jedną wielką zbieraninę ubogich wieśniaków i mieszczan – niejednokrotnie zwyczajnych włóczęgów – „dowodzonych” (jeśli w ogóle można użyć takiego sformułowania) przez garstkę najniższej urodzonej szlachty. Niedouczonej, i to zarówno w kwestii realiów politycznych, jak i wszystkiego innego, pozbawionych na dobrą sprawę jakichkolwiek przewodnich zasad, poza fanatyczną religijnością i nienawiścią do uciskających ich możnych. Niezależnie od tego, jak wielkie były „armie” powstańców – chłopci ze środkowych i południowych Niemiec wysłali kiedyś

do boju przeszło sto pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn – prawdziwe wojsko, odpowiednio dowodzone i zorganizowane, miażdżyło ich najpóźniej po dwóch latach. Z wyjątkiem Holendrów, którzy cieszyli się specjalną przewagą, żadne z europejskich powstań nie trwało długo.

Tymczasem to... było coś innego. Sam fakt, że komitety korespondencyjne zawsze potrafiły zebrać od swych zwolenników fundusze na kupno złotej farby, był niewielką, lecz wyraźną tego oznaką.

– Szlag by trafił tę przeklętą kobietę – mruknął Axel. – Czasem myślę...

– Nie waż się tego mówić – przerwał mu król. – Nie waż się, Axelu. Ani w mojej obecności, ani w obecności kogokolwiek innego. – Gustaw obrócił głowę, kierując swój drapieźnie zakrzywiony nos na kanclerza. – Nie jestem tym angielskim królem – Henrykiem II, prawda? – który ponoć rzekł: „Dalibóg! Czy ktoś oswoodzi mnie od tego klechy?4”.

Znów powrócił do lustrowania złotych łuków.

– Poza tym przesadnie się zamartwiasz. To, co ciebie najbardziej przeraża w Gretchen Richter i jej malkontentach, mnie akurat uspokaja. Niech ci się nie wydaje, Axelu, że masz do czynienia z ciemnymi wieśniakami. Czytałem ich broszury i gazety. Podobnie jak i ty. Są wielce przemyślane i uczone, pomimo ich ostrej wymowy. Czy kiedykolwiek wymieniali mnie jako swego wroga?

Oxenstierna zacisnął szczęki.

– Nie – przyznał niechętnie. – Przynajmniej jeszcze nie. Ale poznałem tę kobietę – podobnie jak i ty – i jeśli ciągle myślisz, że ona przy pierwszej nadarzającej...

– Możesz ją za to winić? – warknął Gustaw. – Powiedz mi, arystokrato, czy gdybyś przeszedł przez to, co ona, też byłbyś pełen szacunku i podziwu dla tych „znaczniejszych” od siebie?

Spojrzał na niego.

– Nie sądzę! To, że skarga pochodzi od człowieka niskiego urodzenia, nie oznacza, że owa skarga jest bezzasadna – dobrze ci radzę, kanclerzu, byś o tym nie zapominał. Ani o tym...

Gniew powrócił na jego twarz.

– Ani o tym, że Bóg nie stosuje takich podziałów. Z pewnością nie w niebiosach, niezależnie od tego, co ustanowi na tym świecie.

Oxenstierna stłumił westchnienie. Jego władca był człowiekiem pobożnym, oddanym swej własnej, nieco specyficznej interpretacji luteranizmu. A może była to po prostu spuścizna jego rodowych tradycji. Dynastia Wazów doszła do władzy w Szwecji między innymi dlatego, że wielki założyciel rodu – Gustaw Waza, dziadek męczyzny stojącego obok – zawsze skłonny był stanąć po stronie pospólstwa w sporze z arystokracją. Od czasu do czasu Gustaw Adolf uważał za stosowne przypominać o tym wszystkim swym szlachetnie urodzonym podwładnym.

–Dość! – wykrzyknął Gustaw. W słowie tym zadźwięczała nutka wesołości. – Chcę złożyć im wizytę, Axelu, i tak właśnie zrobimy. Dziś.

Odwrócił się od okna i ruszył ciężko w stronę drzwi.

–Tym bardziej że od twoich szpiegów wiemy, że ten cały Spartakus przebywa obecnie w mieście. Równie dobrze mogę teraz wyrobić sobie o nim zdanie. Według pozyskanych informacji to właśnie on, bardziej niż Gretchen Richter, jest przywódcą całej bandy.

–Oni nie mają prawdziwego przywódcy – zagrzemiał Axel, idąc w ślad za swym władcą. – Richter jest najbardziej znana, ale przynajmniej pół tuzina innych odgrywa równie ważną rolę jak ona. Nawet jeśli...

Gorycz powróciła do jego głosu, i to z pełną mocą. Kolejne słowa wypowiedział raczej z żalem niż potępieniem.

–Gdzie, na litość boską, córka drukarza nauczyła się tak przemawiać publicznie?

Znajdowali się już na korytarzu. Człapanie Gustawa trudno było nazwać „marszem” z uwagi na to, że stawiał kroki z delikatnością wołu. Przemieszczał się jednak bardzo szybko.

–Powiedz mi coś więcej o tym Spartakusie – zażądał przez ramię.

–Po pierwsze, to nie jest jego imię. To zwyczajna głupia poza, którą przyjmuje w swoich broszurach. Naprawdę nazywa się Joachim Thierbach – a może von Thierbach – i wydaje się pochodzić z mniej znaczącego rodu saskiej szlachty.

–Jeśli to „von” Thierbach, to może wcale nie pomniejszej.

Axel potrząsnął głową z rozdrażnieniem.

–Sasi! A właściwie wszyscy Niemcy! Kto może pojąć tę ich skomplikowaną hierarchię? Przypuszczam, że nawet oni sami nie mogą.

Dotarli już do bramy pałacowej; król niemal sadził w dół po schodach, aż w końcu

znalazł się na ulicy. O ile ten błotnisty teren można było określić mianem „ulicy”. Nawet tutaj, w dzielnicy królewskiej, robotnicy kładący nowy bruk lub naprawiający stary nie nadążali za gwałtownie odradzającym się miastem.

Pilnujący bramy oddział szkockich najemników natychmiast zaczął formować szyk wokół monarchy. Gustaw Adolf gestem nakazał im wrócić na posterunek.

–Myślę, że to byłby błąd dyplomatyczny. – Wizja okazania prawdziwego męstwa jak zawsze uradowała króla Szwecji. – Chyba rozsądniej będzie wkroczyć jako *kapitan generał Gars*.

Przystanął i uśmiechnął się szeroko do Oxenstierny.

–A czy tak nieustraszony żołnierz potrzebuje ochrony?

Axel w końcu uznał, że trzeba poddać się temu, co nieuchronne i odwzajemnił uśmiech.

–Z całą pewnością nie. – Spojrzał na miecz u boku Gustawa i położył dłoń na rękojeści swojego. – W końcu można z tego zrobić dobry użytek, a my wiemy, jak tego dokonać. Zadrżycie przed nami, studenci, rzemieślnicy i ulicznicy!

Gustaw wybuchnął śmiechem.

–Raczej nie. Ale myślę, że będą uprzejmi.

* * *

Okazało się, że Spartakus był więcej niż uprzejmy. Był wprost dworski. A swymi niewymuszonymi manierami i swobodnym, aczkolwiek pełnym szacunku zachowaniem udowodnił, że podejrzenia Oxenstierny nie były bezpodstawne. Prawie na pewno „von” Thierbach.

Gustaw nie miał nic przeciwko temu, żeby się dowiedzieć. Gdy więc on i Axel spoczęli już przy stole w rogu magdeburskich „Łuków Wolności” (obydwaj mieli spore trudności z zachowaniem powagi na widok gromady ludzi wlepiających w nich oczy z każdego zakamarka przestronnej „izby jadalnej”), król od razu przeszedł do rzeczy.

–Jak to z tobą jest, młodzieńcze? Joachim Thierbach? A może von Thierbach?

Joachim uśmiechnął się. Mężczyzna siedzący na wprost króla i kanclerza nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Był szczupłej budowy i raczej wysoki. Okulary tkwiące na nosie w połączeniu z przedwcześnie łysiejącymi skrońmi nadawały mu wygląd uczonego.

–Von Thierbach, Wasza Wysokość. Mój ród pochodzi z miasteczka nieopodal Lipska.

–Niecodzienne pochodzenie, tak mi się wydaje, jak na kogoś o twoich, że się tak wyrażę, „skrajnych poglądach”.

Thierbach wzruszył ramionami.

–Czemuż to, Wasza Wysokość? Czemuż miałbym się ograniczać do horyzontów umysłowych małostkowego szlachetnie urodzonego Sasa? – Uśmiech niepostrzeżenie przeszedł w gorzki, ironiczny grymas. – „Małostkowy” jest tu właściwym słowem. Okupować niezbyt wielką posiadłość, władać niezbyt wielką gromadą brudnych i ledwo piśmiennych chłopów. Tacy właśnie są „szlachetnie urodzeni”.

Axel patrzył z wściekłością. Gustaw się uśmiechał.

–Owszem, najczęściej tak jest – zgodził się król.

Przestronny budynek, który zajęły komitety korespondencyjne, utrzymany był w dużej czystości. Wręcz w niezwykłej, jeśli porównać z większością ówczesnych budynków. Dla zwolenników ruchu politycznego Gretchen Richter dbałość o czystość i higiena osobista były niemalże obiektem kultu – choćby dlatego, że były „nowoczesne”. Nawet Axel po cichu przyznawał, że akurat ten konkretny aspekt działalności komitetów jest godzien pochwały.

Wnętrze budynku urządzono isticie po spartańsku. Meble były tanie i prymitywne, podobnie jak mieszczące się w części kuchennej piece i piekarniki. Jedynym wyjątkiem był nowy żeliwny „piec Franklina” usytuowany w rogu głównego pomieszczenia. Gustaw powstrzymał się od wyszczerzenia zębów w uśmiechu. Jeden z jego szwedzkich dworzan niedawno oznajmił kwaśno, że komitety korespondencyjne przyjęły piece konwekcyjne tak samo, jak wczesny Kościół przyjął symbol krzyża.

Król zerknął na półmisek z jedzeniem, który przyniósł jeden z usługujących młodzieńców. Leżały na nim jakieś plastry przypominające mieszaninę kapusty kiszonej i roztopionego żółtego sera, położone na czymś, co wyglądało jak chleb. Pomimo że Gustaw zrezygnował ze swego tradycyjnego obfitego drugiego śniadania, nie kuśiło go, by spróbować tego jedzenia. Bez wątpienia jakiś niezbyt wykwalifikowany piekarz zrobił je na miejscu z najtańszych dostępnych produktów.

Wiedział, że to również jest jedna z tych rzeczy, które denerwowały jego kanclerza. Połączenie niechęci do wygod z aż nazbyt widoczną umiejętnością zbierania funduszy świadczyło o swoistym fanatyzmie członków komitetów korespondencyjnych. Niezależnie od tego, w jak wielkim stopniu zaczerpnęli swą

ideologię od amerykańskich mentorów, żarliwość, z jaką się do niej stosowali, musiała chyba nawet samych Amerykanów przyprawiać o dreszcze.

Rozumiał obawy Axela. Teoretycznie komitety rzeczywiście były dość niebezpieczne. Jednak...

„Wojna to wojna, kampania to kampania, bitwa to bitwa, a potyczka to potyczka. Nie mylmy jednego z drugim”.

–Powiem wprost – rzekł. Wskazał kciukiem na siedzącego tuż obok kanclerza. – Mojego przyjaciela i doradcę, tego tutaj Oxenstiernę, martwią wasze zamiary. I zagrożenie, jakie te zamiary mogą stanowić dla mych rządów.

Joachim przez chwilę patrzył uważnie na Axela. Było w jego spojrzeniu coś sowego. Uczzonego, owszem – lecz sowy to też drapieżniki.

–Ma rację, że się martwi – powiedział wreszcie ostro. – Ale nie z powodu naszych zamiarów, lecz z powodu logiki wydarzeń. Nie będę kłamał, Wasza Wysokość. Może nadejść taki czas – podkreślam: może – że znajdziemy się w przeciwnych obozach. Lecz jeśli o mnie chodzi, wolałbym uniknąć takiej ewentualności.

Król chrząknął.

„Proszę. Nawet najwięksi radykałowie mają swoje frakcje. Tego się spodziewałem”.

–Richter nie wróci jeszcze przez jakiś czas – zauważył łagodnie. Drażył.

Thierbach przeniósł na niego swój sowy wzrok.

–Proszę nie spodziewać się rozłamów w naszych szeregach, Wasza Wysokość. Albo może proszę ich nie interpretować w niewłaściwy sposób. To prawda, że Gretchen i ja nie zawsze się zgadzamy. Nikt z tego zresztą nie robi tajemnicy. Obydwoje pisaliśmy broszury i wygłaszaliśmy przemowy, w których te różnice były dość wyraźne.

Gustaw zerknął z ukosa na Axela. Kanclerz wydawał się lekko zarumienić. Król poczuł się rozdarty między rozbawieniem a irytacją. Najwyraźniej dla arystokratycznego Oxenstierny subtelne różnice w opiniach radykalnych demokratów były nie do uchwycenia.

„Muszę postarać się o własną sieć szpiegów – pomyślał król. – Wnikliwych, którzy zrozumieją to, co zobaczą, zamiast sapać z oburzenia. Chyba że jestem w wielkim błędzie...”.

Chwilowo odsunął te myśli na bok. Zbyt wiele intrygujących rzeczy odnajdywał w

siedzącym naprzeciwko młodzieńcu, żeby zaprzętać sobie głowę czym innym.

„...przez resztę życia będę miał do czynienia z Thierbachem, Richter i im podobnymi. Dobrze jest poznać swych wrogów – i swych przyjaciół zarazem, bo królowi nie zawsze łatwo jest odróżnić jednych od drugich”.

–Byłbym wdzięczny, gdybyś rozwinął temat. – Pomimo całej łagodności, słowa te były ni mniej, ni więcej, tylko królewskim rozkazem.

Młody Thierbach nie uniósł się gniewem. To również było intrygujące. Z doświadczenia wiedział, że większość młodzieńców w gorącej wodzie kąpanych właśnie tak by się zachowała.

–Różnice między mną a Gretchen to nie tyle różnice w poglądach, Wasza Wysokość – a już z pewnością nie w pryncypiach – co raczej różnice, które wynikają z naszej odmiennej działalności. Gretchen jest... – Nie był to brak określeń, lecz raczej szukanie tego najwłaściwszego. – Nazwijmy ją naszym „duchem przewodnim”. Ona nie zna strachu, zawsze pierwsza wedrze się przez każdy wyłom.

Gustaw kiwnął potakująco głową. Poznał już tę młodą kobietę – pierwszy raz spotkali się, gdy stała z dymiącym pistoletem nad trupami chorwackich kawalerzystów w służbie cesarza Habsburga. Część z nich zabiła osobiście.

Joachim uśmiechnął się, poprawił okulary i przejechał dłonią po wysokim czole.

–Ufam, że sam też bym się przed takim wyłomem nie zatrzymał. Ale zdecydowanie nie jesteśmy z tej samej gliny. Ja jestem bardziej organizatorem naszych komitetów. Tym, który stoi z tyłu i dba o to, by ci nieustraszeni z pierwszych szeregów nie omdleli z braku pożywienia. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Amerykanie mają na to takie jedno pospolite określenie: „pierdolony gryzipiórek”.

Gustaw wyszczerzył zęby. Oxenstierna wprost się roześmiał. Mimo całego swego snobizmu kanclerz nie był świętoszkiem – sam zresztą dowodził wojskiem na polu bitwy.

–Pierdolony gryzipiórek – zachichotał. Spojrzał na siedzącego obok monarchę i dorzucił: – Taką właśnie rolę Gustaw zazwyczaj mnie obdarza.

Oxenstierna przeniósł wzrok z powrotem na młodego radykała po drugiej stronie stołu i – po raz pierwszy – Gustaw dostrzegł w jego oczach coś więcej poza absolutnym brakiem zrozumienia i skrywaną pogardą.

„Bogu dzięki. Przydałby mi się twój intelekt, Axelu, tak dla odmiany. Twoje uprzedzenia są dla mnie bezużyteczne”.

–Kontynuuj, proszę – powiedział kanclerz. O dziwo, ton jego głosu był równie uprzejmy jak same słowa.

–Chodzi mi po prostu o to, że z uwagi na swą pozycję na przedzie Gretchen często nie zważa na to, co można by określić mianem politycznej logistyki kampanii. – Twarz Joachima zdawała się teraz należeć do znacznie starszego mężczyzny. – Królu i kanclerzu, ja jestem świadom zarówno kosztów rewolucji, jak i korzyści z niej płynących. Przestudiowałem książki historyczne, które Amerykanie przywieźli ze sobą – wy bez wątpienia również. I pomimo że te książki w znaczącym stopniu pomogły mi dojść do odpowiednich wniosków, zarazem jednak przestrzegły mnie – myślę, że bardziej niż Gretchen – przed grożącymi nam niebezpieczeństwami. Tak więc osobiście skłaniałbym się ku wolniejszej kampanii.

Sowi wzrok powrócił i tym razem był bardzo drapieżny.

–Miasto można przecież zdobyć na wiele różnych sposobów. Zażarta bitwa przy wyłomie, a później grabież to tylko jeden z nich, a biorąc wszystko pod uwagę, zazwyczaj nie jest to najlepsze rozwiązanie.

Gustaw II Adolf, król Szwecji, cesarz Konfederacji Księstw Europejskich, odwzajemnił to spojrzenie drapieżnego ptaka. Ponieważ niemal powszechnie uznawano go za najwspanialszego żołnierza owych czasów, było to spojrzenie imponujące. Wielki zakrzywiony nos tylko potęgował wrażenie.

Pomimo tego młoda sowa nie skuliła się pod spojrzeniem dojrzałego orła. Z jakiegoś względu to uspokoiło Gustawa.

–Zgadza się – rzekł ostro. – Oblegąłem i zdobyłem już wiele miast – pewnie więcej niż jakikolwiek człowiek naszych czasów. Najlepszym sposobem na wygranie oblężenia jest sprawić, by obrońcy się poddali. A z doświadczenia wiem, że jest to znacznie łatwiejsze, gdy mogą się poddać z honorem oraz godnością i wymaszerować z miasta, niosąc swą broń i sztandary. A już najlepiej jest wtedy, gdy wstępują potem do ciebie na służbę.

Wreszcie Thierbach zdawał się być tym, kim naprawdę był – młodzieniaszkiem stawiającym czoła starszemu i znacznie potężniejszemu mężczyźnie. Miał minę... nie speszoną, nie, nawet nie zdenerwowaną – lecz chyba odrobinę niepewną.

–Też tak uważam – powiedział cicho. – Nie dążę do rozlewu krwi, Wasza Wysokość. Gretchen też nie, cokolwiek myślą o niej ludzie.

Teraz był to już młody chłopak. W jego oczach malował się smutek.

–A co z nią, tak przy okazji? Czy coś wam wiadomo? – Oszczędnym gestem wskazał na gromadę ludzi w pomieszczeniu. – Wszyscy się o nią martwimy. Sytuacja

we Francji wydaje się... niepomyślna.

Gustaw zaśmiał się krótko.

–A czy właśnie nie dlatego ją tam wysłaliście? „Niepomyślna”, też coś! To wymarzone miejsce dla wichrzyciela.

Joachim zdobył się na uśmiech, lecz najwyraźniej troska go nie opuściła.

Król machnął ciężką dłonią.

–Nic mi nie wiadomo. Ale...

*** * ***

Później Axel łajał go i rugał. Godzinami i dniami, które przeszły w tygodnie i miesiące. Gustaw Adolf zawsze jednak był człowiekiem stanowczym. Od czasu, gdy jako szesnastoletni książę poprowadził armię ojca do zdobycia duńskiej twierdzy, wiedział już, że brak zdecydowania jest znacznie częstszą przyczyną przegranych bitew – i wojen – niż jakiegokolwiek błędy.

–Zgoda – powiedział zdecydowanie. – Jeśli to będzie konieczne, zrobię, co tylko będę mógł, dla tej waszej podżegaczki. Macie moje słowo. Z mojej strony – jeśli będzie to konieczne – oczekuję od was pełnego poparcia w walce z moimi wrogami. Sytuacja we Francji, jak raczyłeś to ująć, wydaje się niepomyślna.

–Richelieu - syknął Joachim. Gustaw ucieszył się, słysząc, że syk rozszedł się po całym pomieszczeniu.

Młody radykał wyprostował się.

–Richelieu, Habsburgowie – całe to ściierwo – przeciwko nim, Wasza Wysokość, komitety korespondencyjne zawsze będą cię wspierać.

Po raz kolejny szmer, jaki rozległ się wśród tłumu, wskazywał na to, że młody Thierbach mówił w imieniu ich wszystkich. Gustaw skinął głową.

–Dobrze. A teraz, zanim się oddalę, czy jest jeszcze coś, co chciałbyś omówić?

Joachim przyglądał mu się swymi poważnymi, sowimi oczyma. W końcu rzucił nieco gwałtownie:

–„Omówić” nie jest może najwłaściwszym słowem, Wasza Wysokość. Powiedziałbym raczej: zilustrować pewien problem.

Obrócił się na krześle i wskazał na jednego z młodzieńców stojących z przodu

zbiorowiska. Młokos, najwyżej siedemnastoletni, niski i kościsty.

–To Friedrich Gulda. Pochodzi z Meklemburgii. Jest sierotą. Już od pięciu lat, kiedy to Wallenstein tamtędy przeszedł. Udało mu się ukryć w polu, gdy mordowano jego rodzinę. Chował się tam przez kilka godzin, słuchał tego wszystkiego. Żołnierze Wallensteina bynajmniej się nie spieszyli.

Pozwolił, by Gustaw Adolf i Oxenstierna wyobrazili sobie ze szczegółami, co to oznaczało. Ponieważ obaj byli doświadczonymi żołnierzami, nie mieli z tym żadnych problemów. Palec Joachima wskazał następną osobę.

–Ta dziewczyna to Hannelore. Ma szesnaście lat. Pochodzi z Brandenburgii. Podobna opowieść, z tym że przeżył też jej starszy brat, a ich najbliższych zabili Duńczycy. Tak im się przynajmniej wydaje. Mogli to być również ludzie Mansfelda. Kto to wie? Pospółstwu, a zwłaszcza chłopom, trudno jest odróżnić jedną armię najemników od drugiej.

Gustaw Adolf zacisnął szczęki.

„Trudno je odróżnić również ze względu na domniemanych»przywódców«. Między innymi dlatego przystałem na propozycję Stearnsa. Albo Simpsona, bo chyba od niego wyszła”.

Palec przesunął się dalej i zatrzymał na mężczyźnie o surowych rysach, który miał około dwudziestu pięciu lat. Wyraz jego twarzy był... nieprzejednany.

–To właśnie jej starszy brat. Gunther Achterhof. – Usta Joachima wykrzywiły się. – Na początku, gdy Gunther tu przybył, miał ze sobą zawinięte w szmatę jakieś potworne wyschnięte uszy i nosy. Cały tydzień zajęło mi przekonanie go, żeby je wyrzucił. Na szczęście już wcześniej pozbył się intymnych narządów.

Spojrzał na króla i kanclerza wzrokiem równie surowym jak Achterhof.

–Wraz z kuzynem i paroma sąsiadami schwyтали później dwóch żołnierzy. Maruderów. Zapewne to nie byli ci, którzy zamordowali jego rodzinę, lecz Gunthera to nie obchodziło. W najmniejszym stopniu. Najemnik to najemnik.

Jeśli to w ogóle możliwe, w tym momencie twarz Joachima miała w sobie jeszcze więcej surowości niż twarz Achterhofa.

–Dla niego książę, który wynajął tego żołnierza, to po prostu kolejny książę. Gunthera już niezbyt obchodzi – jeśli w ogóle – subtelne rozróżnienia. Podobnie jest z jego kuzynem Ludwigiem, tym wysokim mężczyzną stojącym w kącie.

Palec nieubłaganie przesuwał się dalej.

–Ten rudowłosy to Franz Heidbreder. Również pochodzi z Meklemburgii. Na szczęście większość jego rodziny przeżyła. Tam stoi jego brat Friedrich, a tam są jego kuzyn Moritz i kuzynka Agnes. Trzy lata temu stracili swoje gospodarstwa, kiedy twoja szwedzka armia, panie, przybyła do Niemiec. Zarekwirowano wszystkie owce, a wraz z nimi niemal całą resztą. Owszem, zapłacono im za owce. Tylekroć jednak obniżałeś wartość swej waluty, panie, że większość kupców nie przyjmuje już szwedzkiego pieniądza.

Masywne szczęki Gustawa zacisnęły się jeszcze mocniej, lecz nie oponował. Rzeczywiście obniżał wartość swej waluty, chcąc ukryć olbrzymie wydatki związane z wyprawą do Niemiec.

Joachim kontynuował głosem cichym, lecz twardym niczym granit.

–Matka Franza umarła pierwszej zimy z powodu choroby, którą sprowadził głód. Jego najmłodszy brat zmarł wiosną. Cała rodzina opuściła Meklemburgię i starała się znaleźć schronienie gdzie indziej; jeden z kuzynów i ciotka umarli po drodze. Znowu choroba z powodu osłabienia brakiem żywności i dachu nad głową. Gdy Franz znalazł ciało ciotki, miała wepchniętą w usta garść trawy. Pod koniec najwyraźniej starała się ją zjeść.

Twarz Oxenstierny była napięta. Na obliczu króla malowała się obojętność. Kanclerz już miał coś powiedzieć, kiedy władca położył swą ciężką dłoń na jego ramieniu.

Tymczasem palec Joachima wskazywał dalej. Twarz młodego saskiego arystokraty chyba nieco złagodniała.

–Tamta dziewczyna to Mathilde Wiegert. Tak się składa, że to ona przedstawiła mnie Gretchen Richter. Pochodzi z Palatynatu, ją również wojna skazała na wygnanie. Samą Mathilde poznałem, kiedy studiowałem w Jenie. Razem ze swą kuzynką Ingą zostały ulicznicami, żeby mieć na życie dla siebie i grupy młodszych dziewcząt.

Urodziwa młoda kobieta zwana Mathilde posłała Gustawowi Adolfowi lekki uśmiech. W całym pomieszczeniu jej twarz była jedyną uśmiechniętą. Król wiedział jednak, że ów uśmiech tak naprawdę nie był skierowany do niego. Skierowany był do młodzieńca, który właśnie przedstawiał królowi niezbyt delikatną „ilustrację”.

Joachim z powrotem obrócił się na krześle i spojrzał na Gustawa i Oxenstierne.

–Tak się składa, że Mathilde jest również bezpośrednią przyczyną mojego odejścia od rodziny. Mój szlachetnie urodzony ojciec nie miał nic przeciwko temu, żebym sypiał z dziewczką z pospólstwa – co więcej, zachęcał mnie do tego, traktując to jako część mojego wykształcenia – lecz wpadł w szal, kiedy dowiedział się, że planuję ją poślubić, gdy prawo w Magdeburgu zmieni się na wzór prawa Stanów

Zjednoczonych.

„Gdy” zmieni się prawo. Nie „jeśli”. To również mówiło samo za siebie.

–Taka właśnie jest pobożność arystokracji, królu i kanclerzu. Do tego właśnie – do niczego innego – sprowadzają się wasze subtelne rozróżnienia między luteranami, kalwinistami i katolikami. Który arystokrata ograbi i wyzyska którego plebejusza, jak mu będzie najdogodniej.

–Dość! – warknął Oxenstierna.

Cichy pomruk przetoczył się po ogromnej sali. Joachim wlepił w Oxenstierne kamienne spojrzenie.

–Właśnie, kanclerzu. O tym mówię. Dość.

Rozwścieczony Oxenstierna zaczął się podnosić. Tym razem jednak Gustaw, który cieszył się niebywałą siłą, zwyczajnie schwycił go za ramię i posadził z powrotem na krześle.

–Będziesz słuchał mego ludu, kanclerzu – syknął. – Nie zamierzam utracić dynastii z powodu głupoty arystokracji. – Posłał Oxenstierne własną wersję kamiennego spojrzenia; żarliwość Joachima nadrabiał pewnością siebie. – Waza. Nie zapominaj.

Obrócił się do Joachima. Wyczuł, że tłum za plecami nieco się uspokoił. Przez chwilę król i rewolucjonista obserwowali się nawzajem. W końcu Gustaw Adolf skinął głową na znak, że podjął decyzję. W końcu nie pierwszy raz król Szwecji uznał za stosowne spalić za sobą most w trakcie kampanii.

–Postanowiłem sprowadzić rodzinę ze Szwecji tutaj, do Magdeburga. Przynajmniej moją córkę. Jak może wiesz, Krystyna jest jeszcze młoda. Ma siedem lat.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Większość zgromadzonych wyglądała na nastolatków i ludzi po dwudziestym roku życia. Jednak tu i ówdzie dostrzegł kilkoro starszych – a także garstkę dzieci.

–Pałace to bardzo nudne miejsca dla żywiołowej dziewczynki. Myślę, że raz na jakiś czas wycieczka tutaj dobrze by jej zrobiła.

Znów spojrzął na Thierbacha. Przez chwilę młodzieniec wydawał się sparaliżowany. Następnie zdumiony, a potem...

Jego wątle ramiona wyprostowały się.

–Będzie musiała nauczyć się piec – oznajmił zdecydowanie głosem, w którym

prawie nie czuło się drżenia. – Taka jest zasada.

Axel wyglądał tak, jakby był na skraju apopleksji. Gustaw zarechotał.

–Przewybornie! – powiedział, uderzając masywną dłonią w blat. – Jej matka, a moja żona, dostanie, rzecz jasna, ataku. Podobnie byłoby z moją własną matką. Z drugiej jednak strony moja babka, małżonka wielkiego Gustawa Wazy, była ponoć znakomitym piekarzem. Nie widzę żadnego powodu, żeby nie przywrócić tej umiejętności w naszym rodzie.

* * *

Oxenstierna zaczął stanowczo protestować, gdy tylko wyszli z budynku. Gustaw jednak machnął niecierpliwie ręką, każąc mu się uspokoić.

–Później, Axelu, później. Wiesz równie dobrze jak ja, że moja żona nie będzie w stanie wychować mojej córki. To urocza kobieta, lecz... słaba. Ile już kłopotów przysporzyła nam jej podatność na wpływy dworskich pochlebców?

Przystanął gwałtownie z butami zagrzebanymi w błocie i spojrzał gniewnie w dół na kanclerza.

–I ty też wiesz – czytałeś przecież te same księgi – co się stało z Krystyną. Mimo niezaprzeczalnego intelektu i rozlicznych talentów ostatecznie przeszła na katolicyzm i abdykowała. Nie dopuszczę do tego!

–Ale wtedy byłeś martwy, w tamtej... – Axel jakby starał się uchwycić coś dłonią. – Innej historii. W tej żyjesz.

Król wzruszył ramionami.

–Zgadza się. Ona jednak musi wychowywać się między kobietami. Przynajmniej częściowo. – Wskazał ruchem głowy na „Łuki Wolności”. – Mów, co chcesz o Gretchen Richter i jej kamratach, ale im akurat słabość jest obca.

Twarz Axela oblała się niemal purpurą. Gustaw postanowił nieco ustąpić. Położył dłoń na ramieniu kanclerza i zaczął prowadzić go z powrotem w stronę pałacu.

–Bądź spokojny. Nie zamierzam pozwalać, żeby Krystyna spędzała zbyt wiele czasu wśród tej zgrai radykałów. Co to, to nie. Znajdę jakąś odpowiednią arystokratkę, żeby była jej... Jak to nazywają Amerykanie? „Wzorzec osobowy”, o ile dobrze pamiętam.

Oxenstierna wydawał się nieco udobruchany. Gustaw, mając przed sobą dzień pełen sporów i debat, postanowił już nie drążyć tematu. Nie ma potrzeby wspominać

o konkretnej arystokratce, którą miał na myśli.

Niestety jednak, mimo często bezmyślnych uprzedzeń, Oxenstierna był niebywale przenikliwy. Nie przeszli jeszcze dziesięciu kroków, gdy twarz kanclerza znowu przybrała srogi wyraz.

–To niemożliwe. Gustawie! Chyba nie myślisz...

–A niby czemu nie? – zapytał stanowczo król. – Uważam, że moja najnowsza – i zarazem najmłodsza – baronowa będzie wymarzoną towarzyszką dla Krystyny.

Wystawił jeden palec.

–Z uwagi na czasy, w których przyszło nam żyć, Krystyna powinna nauczyć się strzelać.

Potem wystawił drugi palec.

–Z drugiej strony Julie Mackay siedzi na koniu niczym wór ziemniaków. Krystyna zaś już teraz jeździ wyśmienicie, mogłaby więc pomóc baronowej nabyć umiejętność, która, z tym bez wątpienia się zgodzisz, jest niezbędna dla poważanej szwedzkiej arystokratki.

–Julie Mackay jest w Anglii – burknął Oxenstierna. – Może już nawet w Szkocji.

–Cóż z tego? Przecież wróci.

–Sytuacja w Anglii również nie wydaje się „pomyślna”.

–Cóż z tego? – powtórzył Gustaw. Wskazał kciukiem za siebie, na „Łuki Wolności”. – Skoro muszę ratować jedną pyskątą młodą niewiastę, to czemu od razu nie dwie?

Przez chwilę stąpali w milczeniu. W końcu Axel westchnął.

–A może trzy, a może cztery. Nigdy nie sądziłem, że nadejdzie dzień, w którym to powiem, ale żałuję, że nie ma wśród nas Rebeki Stearns. Brakuje mi... jej rady. Jest wielce przenikliwa i tak łatwo się z nią pracuje.

Gustaw zaśmiał się tubalnie.

–Zaiste. Intrygujące, jak to wszystko się układa, nieprawdaż? W porównaniu z Gretchen Richter albo Julie Mackay Rebeka Stearns nagle sprawia wrażenie najmądrzejszej kobiety na świecie.

Rozdział 6

–Julie, przypominam ci – powiedziała stanowczo Melissa – że nie masz żadnych antybiotyków. Tak więc...

–Da mi już pani spokój? – przerwała jej rozzłoszczona Julie. Owinęła róg kocyka wokół główki swego dziecka. – Jeżeli jeszcze raz będę musiała słuchać tego kazania, to chyba zacznę krzyczeć. – Posłała mężowi kwaśne spojrzenie. – Alex truje mi o tym dziesięć razy dziennie.

Szkocki małżonek Julie oblał się rumieńcem. Przy jego jasnej cerze i rudych piegach najbliższy rumieniec od razu rzucał się w oczy.

–Do diabła, dziewczyno – burknął – tu nie ma z czego żartować. Nie powinienem był ci pozwolić wyruszyć w tę podróż, a tym bardziej zabierać dziecka.

Julie już otworzyła usta. Melissa niemal się skrzywiła, wyobrażając sobie ripostę. „A jak niby, do cholery jasnej, miałeś zamiar powstrzymać mnie przed wyjazdem? Ty...!”.

Na szczęście Julie zapanowała nad impulsem. Niezależnie od tego, jakie były w rzeczywistości relacje między nimi, jej małżonek chciał sprawiać wrażenie, że jest „głową rodziny”, a ona przyjęła to do wiadomości. Fakt, że z wielką niechęcią zgodził się na towarzysztwo żony i malutkiej córeczki Alexi w pilnej i niespodziewanej podróży do Szkocji, był jednym z wielu kompromisów, na jakie poszli obydwój, chcąc, by ich małżeństwo trwało.

Melissa wiedziała, że nie zawsze było im łatwo. Zderzenie wzorów kulturowych siedemnastowiecznego szkockiego kawalerzysty i amerykańskiej kobiety z dwudziestego pierwszego wieku było momentami... przerażające. Nie pomagał też fakt, że Alex Mackay był arystokratą – owszem, z nieprawego łoża, ale przyjął postawę przedstawiciela wyższych warstw społecznych. Z drugiej zaś strony... Melissa z trudem powstrzymała się od śmiechu. Określić Julie Mackay jako „upartą i zawziętą” to mniej więcej tak, jakby określić ocean jako „mokry i słony”. Aksjomat, coś oczywistego. Równie dobrze można by nakazać przyływowi się cofnąć, jak oczekiwać od niej skromności i pokory.

Poza tym obydwój byli bardzo młodzi. Alex był świeżo po dwudziestce, a Julie dopiero za kilka miesięcy miała skończyć dwadzieścia lat. Mimo wszelkich zalet bycia w sile wieku i zdecydowanie mniejszej przepaści społecznej, u Melissy i Jamesa kłótnie domowe też nie były ewenementem.

Melissa szukała odpowiednich słów, które załagodziłyby sytuację, ponieważ czuła się nieco odpowiedzialna za wywołanie najnowszej utarczki.

„Szlag by to trafił, kobieto, ponoć masz tu być rozjemcą. Nie jesteś już radykałem z lat sześćdziesiątych, który radośnie poszturchuje ustalony porządek”.

Szukała i szukała. Prawda była taka, że dla Melissy agitacja i wicherzycielstwo były znacznie bardziej naturalne niż dyplomacja. Nie mogła znaleźć słów.

Na szczęście poza uporem Julie miała też inne cechy. Jedną z nich – i to dość wyrazistą – była uczuciowość. Tak więc Melissa nie musiała wcielać się w rolę rozjemcy. Julie nagle się uśmiechnęła, objęła męża w pasie i przyciągnęła go do siebie. Mokry i entuzjastyczny całus w policzek sprawił, że rumieniec odpłynął z twarzy Alexa. I, rzecz jasna, zaraz pojawił się nowy. Tyle że tym razem był to rumieniec zadowolenia, a nie gniewu.

Ani nie wstydu, chociaż Julie okazała swoje uczucia całkiem publicznie. Stali na nabrzeżu, do którego przycumowany był statek z Hamburga. W londyńskich dokach wprost roiły się tłumy żeglarzy, dokerów i ludzi, którzy czekali, by wsiąść na pokłady innych statków. Alexowi to jednak nie przeszkadzało. I to w najmniejszym stopniu, sądząc po tym, jak jego usta szukały ust Julie.

Jedną z rzeczy, których Melissa nauczyła się w ciągu tych dwóch lat od Ognistego Kręgu, było to, że w siedemnastym wieku ludzie dalecy byli od pruderyjnej postawy życiowej obowiązującej w późniejszej epoce, zwanej „wiktoriańską”. Zaskoczyło ją to, chociaż pracowała jako nauczycielka historii. Nie zastanawiając się nad tym specjalnie, Melissa założyła, że im wcześniejsze były czasy, tym bardziej „wiktoriańska” była kultura w Europie. A już z całą pewnością spodziewała się, że w początkach siedemnastego wieku – okresu purytanizmu i rozkwitu żarliwości religijnej – będzie panował umiar we wszelkich tematach, a zwłaszcza w temacie seksu.

Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Pruderia obyczajów społecznych w dziewiętnastym wieku była nowością, którą wprowadzili metodyści Johna Wesleya w odpowiedzi na upadek moralny osiemnastowiecznych angielskich mieszczan i która rozprzestrzeniła się na kontynencie poprzez ruch pietystów⁵. Melissa odkryła, że w siedemnastym wieku ludzie byli całkiem dosadni, a wręcz sprośni. Nawet jeśli dla szkockich kawalerzystów, którzy trafili do Grantville wkrótce po Ognistym Kręgu, ubiór Amerykanek był dość skandaliczny, to nie było dla nich niczego dziwnego w ich „nowoczesnym” i swobodnym podejściu do seksu. Oni sami, jak większość siedemnastowiecznych Europejczyków wraz z ich bezceremonialnym stosunkiem do spraw erotycznych, więcej mieli wspólnego z obyczajami późnego dwudziestego i wczesnego dwudziestego pierwszego wieku w Ameryce niż z epoką wiktoriańską.

W pewnych sytuacjach było to wprost wstrząsające dla kogoś o wychowaniu i poglądach Melissy. Wciąż pamiętała szok, jaki przeżyła, gdy dowiedziała się, że jedna z owdowiałych chłopek mieszkających obok Grantville pozwała swego przełożonego,

gdyż ów mężczyzna, napotkawszy ją pochyloną w ogródku warzywnym, z radością wykorzystał tę okazję, by (jak to będą eufemistycznie ujmować w późniejszych czasach) „zrobić, co do niego należało”, nie zważając na gwałtowny protest kobiety.

Szok nie był spowodowany faktem gwałtu. Melissy nie chowano pod kloszem, a w Ameryce w dwudziestym pierwszym wieku gwałty zdarzały się dość często. Tym, co ją zbulwersowało, było podejście samej kobiety. Zgadza się, chłopka była wściekła na mężczyznę, który tak po chamsku ją potraktował. Nie wniosła jednak oskarżenia o gwałt – ona po prostu wtargnęła do sądu, żądając, by w razie ciąży ten podły sukinsyn uznał bękarta za swojego i zapewnił dziecku alimenty.

Wtedy w Grantville było głośno o tej sprawie, ponieważ wprowadziła jeszcze więcej chaosu w i tak już trudny proces tworzenia jednolitego kodeksu prawnego dla kształtującego się społeczeństwa. W tej kwestii, podobnie jak w wielu innych, nowocześni Amerykanie zwykli patrzeć na wszystko pod kątem praw osobistych, siedemnastowieczni Niemcy zaś traktowali wszystko w kategoriach własności i zobowiązań finansowych. Oczywiście to, że mężczyzna zgwałcił kobietę, wywoływało gniew. Ale prawdziwy gniew wywoływało to, że zagroził jej mieniu, najprawdopodobniej płodząc niechciane dziecko, które będzie przyczyną nieustannego topnienia jej niezbyt znaczących środków. Nawet sam winowajca postrzegał to w ten sposób. Otwarcie zeznał w sądzie, że miał nadzieję postawić swą pracownicę w trudnym położeniu i w ten sposób zmusić ją do małżeństwa, co zapewniłoby mu dożywotni dochód z gospodarstwa.

Ostatecznie sąd przystał na warunki kobiety. I chociaż Melissa była wówczas wściekła, z perspektywy czasu już nie uważała, że lepiej byłoby wsadzić chama na parę lat do amerykańskiego więzienia – a i tak zwolniliby go wcześniej za dobre sprawowanie – niż ogołocić go niemal z każdego grosza i tym samym praktycznie skazać na trwającą dwie dekady niewolę.

Mając w pamięci owo zdarzenie, Melissa przyglądała się pocałunkowi Julie, który przeradzał się w coś bardzo odważnego (twarz Alexa przybrała już niemal kolor buraczkowy, lecz Szkot entuzjastycznie się jej odwzajemniał), i jeszcze raz z trudem zdusiła w sobie śmiech. „O, nowy, wspaniały świat, w którym żyją tacy ludzie!6. Pod pewnymi względami nie znosiła siedemnastowiecznego społeczeństwa, pod innymi niemal wbrew sobie zaczynała je cenić.

Podatność na choroby jednak się do nich nie zaliczała. A prawda była taka, że Julie bardzo dużo ryzykowała, zabierając dziecko na tę wyprawę. Ludzie w tych czasach zazwyczaj zostawiali dzieci – a szczególnie niemowlęta – w domach, jeśli tylko wyruszali w podróż dalszą niż po najbliższej okolicy. Rebeka i Gretchen nawet nie zastanawiały się, czy pojechać na swe misje wraz z dziećmi. Pomijając już bardzo realne zagrożenie ze strony piratów i przydrożnych rabusiów, każdy kontakt z obcą społecznością mógł sprowadzić chorobę. Nawet jeśli dzieci nie podróżowały i nie

były niepotrzebnie narażane, jedna trzecia tych, które się rodziły, nie była w stanie przetrwać nawet roku. Połowa umierała, zanim skończyła pięć lat.

Na dźwięk stukotu kopyt Melissa odwróciła się od Alexa i Julie. Mały oddział kawalerzystów kłusował po nabrzeżu mniej niż pięćdziesiąt metrów od nich. Wykorzystywali swe rumaki, by rozgonić dokerów i żeglarzy – arogancja żołnierzy wobec cywilów była kolejną z ówczesnych cech znienawidzonych przez Melissę. „Z drogi albo cię zmiążdżymy, do kroćset”.

Zacisnęła usta. Oficer jadący na czele lustrował otoczenie, najwyraźniej kogoś szukając. Tym kimś – Melissa nie miała co do tego wątpliwości – była ona sama. Albo raczej jej orszak. Jeźdźcy co prawda nie nosili żadnych mundurów – w tych czasach wciąż nie były one powszechne – jednak podobne kaftany, buty z cholewkami, rękawice i kapelusze z piórami miały takie samo znaczenie. W tej okolicy tak odziani mogli być tylko królewscy żołnierze.

„Oficjalna eskorta. Nie wiem, czy się cieszyć, czy nie”.

Wyczuła czyjąś obecność za plecami. Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że to Tom Simpson. Charakter męża Rity diametralnie różnił się od osobowości wyniosłego oficera, który zmierzał w jej stronę. Melissa wiedziała, że Tom praktycznie każdemu schodzi z drogi. Sama jego postura wystarczała jednak, by mężczyzna ów przyprawiał o dreszcze, zwyczajnie będąc w pobliżu. Nie była to nawet kwestia olbrzymiego wzrostu – Tom miał niewiele ponad sto osiemdziesiąt centymetrów – ale jego zwalistej figury. Ani grama tłuszczu, wiedziała o tym. Tom Simpson był w formie już jako członek drużyny futbolowej Uniwersytetu Wirginii Zachodniej. Od tamtej pory większość czasu służył w armii nowych Stanów Zjednoczonych, co pozwoliło mu tę formę jeszcze poprawić.

Jego obecność podniosła ją na duchu, szczególnie że oficer i jego oddział właśnie się zbliżyli. W ciągu dwóch lat, które minęły od Ognistego Kręgu, Melissie udało się wreszcie pozbyć części uprzedzeń wobec żołnierzy. Lecz tylko części. Choć na całym świecie zdarzał się niejeden Alex Mackay i niejeden Tom Simpson, równocześnie byli też żołnierze, którym zaufałyby równie chętnie jak grzechotnikowi. A nawet nieco mniej, bo nikt w życiu nie oskarżyłby grzechotnika o popełnienie zbrodni.

Oficer, który dowodził oddziałem... nie wyglądał obiecująco. Z pióropuszem niczym u pawia, spoglądający na wszystkich tak wyniośle, że wyglądało to niemal jak parodia filmu. Jego długi nos był zmarszczony w grymasie wiecznego niezadowolenia.

„Nie żebym sama nie czuła, że strasznie tu cuchnie.” Zapach miast i miasteczek bez wątplenia nie zaliczał się do tych aspektów siedemnastego wieku, którego przypadły

Melissie do gustu.

–To na pewno do nas – mruknął Tom. – Skoczę po Ritę.

Melissa kiwnęła głową. Rita Simpson była oficjalnym ambasadorem z wizytą u króla Karola I. Wszystkim Amerykanom w Grantville (łącznie z samą raptem dwudziestotrzyletnią zainteresowaną) wydawało się to dość niedorzeczne. Mike poszedł jednak za radą Baltazara, Rebeki oraz Francisco Nasiego – a także kanclerza Gustawa, Oxenstierny – i przydzielił to zadanie swojej młodszej siostrze. W siedemnastowiecznej Europie „dyplomacją” – w sensie decydujących i wiążących negocjacji raczej niż czynności rutynowych - nie zajmowali się zawodowi ambasadorzy. Odległości były zwyczajnie za duże, a transport za słabo rozwinięty, żeby państwa mogły nadzorować działania własnych emisariuszy. W rezultacie na ambasadorów najczęściej wyznaczano krewnych zainteresowanych monarchów, ponieważ tylko oni mieli szansę na rozmowę z władcą.

Owszem, Mike Stearns nie był królem, jednak Stany Zjednoczone nie miały bliższego jego odpowiednika. I tak chcąc nie chcąc, na czele poselstw do Francji, Holandii i Anglii stanęły jego żona i jego siostra.

W przypadku misji Rebeki sprawowana funkcja przystawała do rzeczywistości. Nikt, może poza nią samą, nie miał najmniejszych wątpliwości, że podola temu zadaniu. Dlatego jej właśnie przydzielono misję trudniejszą i bardziej istotną: zawrzeć pokój z Francją, jeśli to w ogóle możliwe, i wejść w sojusz z Holandią.

Co do misji w Anglii, sytuacja przedstawiała się inaczej. Z Ritą wszystko było w porządku – Melissa uważała ją za fantastyczny wzór młodej Amerykanki, zdrowej na ciele i umyśle. Nikt jednak – a już z całą pewnością sama Rita – nie przypuszczał, że stać ją na taką samą błyskotliwość, jaką często demonstrowała Rebeka.

Dlatego też wbrew swojej woli Melissa Mailey została zmuszona do pełnienia roli „doradcy” Rity, choć w gruncie rzeczy to ona przewodziła poselstwu.

„Szlag by to trafił, niedługo stuknie mi sześćdziesiątka! Jestem już za stara i zbyt niedołączna na takie przygody. Tęsknię za moim łóżkiem, za Jamesem, który w nim leży. I za wygodami i moimi przyzwyczajeniami. Tęsknię nawet za skrzypiącym zawiasem w drzwiach kuchennych, który James przyrzeka naprawić”.

Zbliżający się oficer wciąż ich nie dostrzegał. Pod wpływem impulsu Melissa znów odwróciła się do Alexa i Julie.

–Powinniśmy się rozdzielić. Teraz. Nie ma powodu przypuszczać, że... – Zawahała się. – Mimo to...

Alex skinął głową.

–Gdyby były jakieś kłopoty, lepiej, żeby nas ze sobą nie wiązano. – Objął Julie ramieniem i odwrócił. Uśmiechnął się lekko. – Rzecz jasna, pojawią się szpiedzy. Zanim jednak skończą wyklócać się ze skąpymi skarbnikami Karola o cenę informacji, będziemy już w połowie drogi do Edynburga.

Melissa widziała, że Julie wyraźnie chce uścisnąć ją na pożegnanie. Była jednak uparta, a nie głupia, po chwili więc zadowolila się ciepłym uśmiechem i szepnęła:

–Proszę pamiętać o kontakcie radiowym. Codziennie będę nasłuchiwać, tak jak planowaliśmy.

Melissa kiwnęła głową w odpowiedzi. Ponieważ oficer nie mógł widzieć jej twarzy, posłała Julie całusa. Następnie zdecydowanie – choć nie przyszło jej to z łatwością, gdyż od czasu Ognistego Kręgu Julie stała się niemal jej przybraną córką – odwróciła się do nich plecami.

Odwróciła się plecami, wyprostowała ramiona i uniosła głowę tak wysoko, jak pozwalała jej długa szyja. Skierowała ku nadciągającemu oficerowi nos, który, prawdę mówiąc, był równie arystokratyczny jak jego własny, i obdarzyła go spojrzeniem, którego wyniosłości nie powstydzilaby się cesarzowa. Lata gromienia wzrokiem młodzieńczej bezczelności nie poszły na marne.

Wreszcie oficer ją dostrzegł. A chwilę później Tom i Rita Simpsonowie stali obok niej. Za nimi Darryl McCarthy, Gayle Mason oraz Friedrich i Nelly Bruchowie doglądali bagaży. Obydwie pary (prawdziwa małżeństwa Bruchów oraz udawana Darryla i Gayle) pełniły na czas tej misji rolę „służby”. W tamtych czasach wszystkie poselstwa zabierały własnych służących. Cała czwórka wypełniała swoje obowiązki dość skwapliwie, choć Darryl i Gayle nie mogli sobie odmówić sarkastycznych uwag na osobności. Tak naprawdę do zadań Gayle należało utrzymywanie łączności radiowej, Darryla i Friedricha – zapewnianie Tomowi fizycznej ochrony, a żona Friedricha, która była rodem z Londynu, miała (przy wsparciu męża, również dobrze znającego miasto) przeprowadzać konieczny wywiad lokalny.

Melissa ujrzała, że oficer nieco szerzej otworzył oczy. Jego nos chyba jeszcze bardziej się zwęził.

„Przykro mi, dupku. Nie noszę piór ani kit. Może i jesteśmy z niższych warstw, ale masz przed sobą oficjalne poselstwo Stanów Zjednoczonych”.

Było to odrobinę niesprawiedliwe. Przecież starała się namówić Ritę na założenie bardzo wyszukanego stroju i kapelusza z piórem. To jednak było zbyt wiele dla wrodzonej appalachijskiej skromności dziewczyny.

Spojrzenie oficera padło na Toma. Melissa zaśmiała się cicho pod nosem, widząc, jak arogancki wyraz twarzy żołnierza zmienia się. Chociaż dosiadał konia, bez

wątpienia rozważał całkiem realną sytuację, w której Tom jedną dłonią powala konia na ziemię, a drugą ściąga z niego oficera. Sądząc po jego zmrużonych oczach, Melissa uznała, że zastanawia się, co mogłoby później nastąpić.

Najwyraźniej były to zbyt potworne rozważania. Oficer zmusił się do uśmiechu i podjechał do nich.

–A! Lady Stearns, jak miemam?

Melissa zdołała przeskokić Ritę na tyle, że ta nie wyskoczyła z odpowiedzią w swoim stylu: „Chyba pan żartuje. Poza tym jestem już panią Simpson, a ten tu koleś to mój mężulek”. Zamiast tego Rita skłoniła się z gracją i wskazała na pozostałych.

–I moja świta – powiedziała.

„Trochę zbyt cicho – pomyślała Melissa. – Ale... całkiem nieźle. A co tam, do diabła. Skoro już tu jestem, równie dobrze mogę mieć z tego trochę radości”.

* * *

Nieco później, gdy ich powóz wraz z eskortą dotarł do celu, Melissie daleko było do radości. Rozpoznała to miejsce, ponieważ tak się złożyło, że była tu z wycieczką już trzy razy w życiu.

–O co chodzi? – zapytała cicho Rita. – Wyglądasz, jakbyś zjadła cytrynę.

Melissa wskazała palcem przez okno.

–O to chodzi! O miejsce, do którego jedziemy. Myślałam, że zabiorą nas do Pałacu Whitehall, który w tym okresie historii brytyjskiej jest królewską rezydencją.

Tom przechylił się i wyjrzał przez okno. Po chwili też się skrzywił. Melissa nie była zdziwiona, że rozpoznał cel ich podróży, chociaż – w przeciwieństwie do niej – nigdy nie był w Anglii. Tom dorastał w Pittsburghu, nie w miasteczku w Wirginii Zachodniej, i jego rodzice byli bardzo zamożni. To taki typ rodziców, którzy dostają pocztę z całego świata.

Miejsce, do którego bram właśnie się zbliżali, było w gruncie rzeczy dość sławne. Ten charakterystyczny kontur zdobił miliony pocztówek.

–Cudownie – wymamrotał. – Tower.

Rozdział 7

–Wcale nie jest tak źle, Rita – powiedziała Melissa, rozglądając się po pomieszczeniu, do którego zaprowadził ich oficer wraz z eskortą. Twarz Rity była napięta od chwili, gdy poznała cel ich podróży.

–Bycie wtrąconym do Tower to zupełnie to samo, co bycie wtrąconym do lochu. Rzecz jasna, są tu prawdziwe lochy, i to całkiem sporo, ale Tower jest przede wszystkim miejscem, w którym władcy Anglii przetrzymywali ważne osoby w charakterze „luksusowych więźniów”.

Zatoczyła ręką łuk, wskazując na otoczenie.

–Zresztą rozejrzyjcie się sami. Jasne, że cała konstrukcja jest średniowieczna i że im mniej myślimy o ubikacji, tym lepiej dla nas. Ale poza tym te pomieszczenia i to umeblowanie są godne króla. I to dosłownie, tak się składa. To jest Wieża Świętego Tomasza, w której mieszkał przynajmniej jeden średniowieczny król Anglii. Jeśli się nie mylę, to któryś z Edwardów.

Melissa podeszła do jednego z okien wychodzących na Tamizę. Zauważyła, że szkło było równie przejrzyste, jak w czasach współczesnych. W dole wąska brukowana uliczka oddzielała zewnętrzny mur Tower, którego częścią była Wieża Świętego Tomasza, od muru wewnętrznego. Wskazała na kamienne budynki wchodzące w skład konstrukcji wewnętrznego muru w tej części londyńskiej Tower.

–To właśnie tam trzymali Sir Waltera Raleigha przez jakieś dwanaście lat – i to wcale nie tak dawno. Zresztą w naprawdę dobrych warunkach.

Uznała, że nie ma potrzeby wspominać o tym, że na wieżę Raleigha mówiono „Krwawa Wieża”. To zresztą była tylko legenda. Nie wiadomo przecież, czy Ryszard III naprawdę zamordował swych bratanków – a tym bardziej czy zrobił to właśnie tam. Uznała też, że nie ma sensu wspominać o niezabudowanej parceli gdzieś po drugiej stronie Krwawej Wieży (nie było jej widać z ich punktu obserwacyjnego), w którym to miejscu Henryk VIII kazał skrócić Annę Boleyn o głowę.

Rita chyba nieco się rozluźniła.

–Rozumiem, że jednym słowem mamy „areszt domowy”. A oni oddali nam najładniejszy dom, jaki mają do dyspozycji.

Melissa skinęła głową. Już miała rozwinąć temat, kiedy pojawił się Darryl McCarthy. Wszedł drzwiami na drugim końcu połączonych komnat, do których ich zaprowadzono, a o których Melissa już myślała jak o „apartamencie ambasadorskim”. Świeżo upieczony żołnierz kręcił głową, lecz był to raczej gest

konsternacji niż dezaprobaty.

–Wypasiony hotel, pomijając może... no, nazwijmy to „ubikacją”. Ale... – Wskazał kciukiem ponad ramieniem. – W przejściu, które prowadzi na drugą stronę ulicy, stoją wartownicy. Dali mi jasno do zrozumienia, że nie mogę przejść. Powiedzieli, że musimy poczekać, aż pojawi się jakiś leszcz – nie pamiętam nazwiska.

Widząc, jak Darryl bezwiednie pociera klatkę piersiową, Melissa wywnioskowała, że owo „jasno” oznaczało ostrze partyzany, gdy górnik próbował jakoś przeforsować tę kwestię. Być może nawet dwóch lub trzech partyzan dzierzonych przez strażników. Darryl, podobnie jak jego przyjaciel Harry Lefferts, był bezczelny i zuchwały. Typ appalachijskiego młodzieńca, który w historii Stanów Zjednoczonych dostarczał mnóstwa rewolwerowców i bandytów – a także pilotów oblatywaczy.

Dla Melissy takie męskie prostactwo często było odstręczające, jednak...

„Różne czasy, różne miejsca. Boże, jak się cieszę, że Darryl jest tu z nami. W najgorszym wypadku nie wejdziemy łagodnie do tej dobrej nocy7. Nawet Harry’ego Lefferts’a mi brakuje. No... w pewnym sensie. Myślę, że powstrzymam Darryla od zrobienia czegoś głupiego. Ale gdyby był z nim Harry... Ojej”.

Uśmiechnęła się na wspomnienie minionych lat – sprzed Ognistego Kręgu – gdy będąc nauczycielką, często miała ochotę udusić tych dwóch rozwrzeszczanych nastolatków. Gdy Harry i Darryl wreszcie ukończyli liceum i poszli pracować w kopalni, Ed Piazza, dyrektor szkoły, zaprosił Melissę i kilkoro innych nauczycieli do swego gabinetu na potajemnego drinka z ćwiartki Jacka Danielsa, którą ukrył w szufladzie biurka.

–Skoro już się tych dwóch pozbyliśmy – powiedział, obserwując pustą butelkę, a opróżniono ją w bardzo szybkim tempie – może zacznę stosować się do moich własnych przepisów dotyczących spożywania alkoholu na terenie szkoły.

–Szczerze wątpię – burknął Greg Ferrara, nauczyciel przedmiotów ścisłych. Z żalem spojrzął na pustą butelkę. – Nie zapominaj, że wciąż mamy...

–Siedź cicho – warknął Piazza. – Po prostu siedź cicho.

*** * ***

„Różne czasy, różne miejsca”.

Słyszając powolne kroki na schodach prowadzących do Wieży Świętego Tomasza, Melissa odwróciła się od okna. Dźwięk był tak subtelny, że wiedziała, iż ten, kto wchodzi na górę, nie jest zwykłym wartownikiem. Kroki te miały w sobie jakieś namaszczenie – raczej godność niż zwykłą siłę – które wskazywało na przybycie

„osoby wpływowej”.

I rzeczywiście mężczyzna, który wszedł do komnaty, odziany był bardzo szycownie. Pomijając sam strój, był człowiekiem robiącym imponujące wrażenie. Wysoki, szczupły, o wyrazistych rysach, może nawet przystojny. Gęste ciemne włosy i brązowe oczy dość ostro kontrastowały z bladą cerą. Miał poważny i uroczysty wyraz twarzy. Melissa odniosła wrażenie, że był to raczej wyuczony nawyk niż kwestia usposobienia. Przelotny uśmiech, który błysnął na jego obliczu – całkowicie kłócąc się z jego pełną godności pozą – tylko potwierdził jej przypuszczenia.

–Pragnę wszystkich was powitać – odezwał się mężczyzna. – W imieniu swoim własnym, lecz także w imieniu króla Karola. Jestem Sir Thomas Wentworth...

Urwał i przez moment na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Było to coś subtelного. Na wpół zaskoczenie, na wpół radość – jakby nagle przypomniał sobie niedawny i bardzo niespodziewany uśmiech losu.

–Właściwie to hrabia Strafford. Król niedawno uznał za stosowne nadać mi ów tytuł. – Odchrząknął. – Obawiam się, że sam król jest w tej chwili niedysponowany. Królowa poważnie zaniemogła i Jego Wysokość, rozdarty między troską o jej zdrowie a naglącymi sprawami wagi państwowej, polecił mi powitać was w jego imieniu. Prosił również – ponownie odchrząknął – żebym najmocniej was przeprosił za to, że nie udostępnił wam komnat w Whitehall. Niestety dolegliwość królowej przeniosła się na dworzan i służbę, przeto król lękałby się o wasze zdrowie, gdybyście mieli zamieszkać w pałacu, który przeistoczył się w siedlisko chorób.

„Całkiem sprawnie sobie z tym poradził” – pomyślała Melissa, niemal całkowicie przekonana, że to bezczelne kłamstwo. Strafford po raz kolejny posłał im przelotny uśmiech. Była to dość niezwykła mina – tak jakby człowiek, który ją zrobił, obawiał się swego własnego ciepła.

–Szczерze mówiąc, a sam zatrzymywałem się kilka razy w Whitehall, tutaj będzie wam znacznie wygodniej. Pałac królewski bardzo często jest jak dom dla obłąkanych, a panuje w nim taki tłok, że musieliby was wszystkich umieścić w jednym lub dwóch pokoikach. Tymczasem tutaj...

Powolnym, królewskim gestem wskazał dłonią na uroki otoczenia.

–Osobne komnaty, w tym nawet dobre kwatery dla służących, jeden z najwspanialszych kominków w całej Anglii i zapewne najlepsze łoża, wyjąwszy te z komnat królowej w Whitehall.

Melissa podejrzewała, że nie mijał się z prawdą. Ledwie była w stanie rozpoznać Wieżę Świętego Tomasza, kiedy ich wprowadzono do środka. Z zewnątrz nie różniła się specjalnie od tej, którą widziała, gdy zwiedzała Tower pod koniec dwudziestego

wieku. Wówczas środek był kompletnie surowy. A nawet bardziej niż surowy, ponieważ ludzie zarządzający budowlą celowo nie przykryli części starej architektury, żeby turyści mogli zobaczyć wszystkie warstwy, jakie kładziono w różnych stuleciach. Teraz zaś miała przed oczyma to miejsce takie, jakim rzeczywiście było podczas jednego z tych minionych stuleci. Dywany, bogate gobeliny, lniana pościel i kunsztowne obicie mebli wyglądających tak, jakby niedawno ktoś z nich korzystał. Największe jednak wrażenie wywarł na niej olbrzymi kominek, który dominował w komnacie. Pamiętała go jeszcze z wycieczek. Była jednak olbrzymia różnica między majestatycznym, lecz zimnym paleniskiem, które zapamiętała, a tym kominkiem rozgrzanym od popiołu i na wpół spalonych polan.

„Oczywiście autentyczny zapach można by sobie darować”.

Jednak nawet on wleciał przez okna komnaty, z których roztaczał się widok na Tamizę. Pochodził z nieruchomych wód fosy, będącej – praktycznie rzecz biorąc – odkrytym ściekiem. Same pomieszczenia w Wieży Świętego Tomasza były nieskazitelnie czyste.

Melissa już miała coś powiedzieć, gdy odezwała się Rita.

–Dziękuję, lordzie Strafford. Racz przekazać królowi wyrazy wdzięczności. Kiedy będziemy mieli okazję, by spotkać się z Jego Wysokością osobiście?

Strafford splótł dłonie za plecami i pochylił się nieco do przodu.

–Obawiam się, że nie umiem odpowiedzieć. W tym momencie natłok spraw jest wręcz przerażający – tak już zresztą było, zanim królowa zaniemogła. A gdy to się jeszcze nałożyło...

Mina Strafforda była mistrzostwem dyplomacji. Melissa niemal się roześmiała. Wyrażała odczucia człowieka, który – powodowany serdecznością i dobrą wolą – wyjawia sekret nieznanym, którym od razu zaufał i których od razu polubił. Na wskroś fałszywe, lecz świetnie zagrane. Naprawdę świetnie zagrane.

–Jeśli wolno mi tak powiedzieć, król być może nieco za bardzo hołubi królową. Oskarżenia o to, że jest nią zaślepiony, osobiście uważam za fałszywe, a wręcz za potwarz. Nie ma jednak wątpliwości, że królowa jest dlań wielkim skarbem. Gdy choruje... trudno go oderwać od jej boku, a nawet jeśli się uda, to tylko w najpilniejszych i najistotniejszych sprawach.

Melissa uznała, że Rita dobrze sobie radzi, i pozwoliła jej kontynuować. Niezależnie od tego, ile nerwów kosztowała tę młodą kobietę rola, którą zmuszona była grać, była to rola, której musiała się nauczyć. A jedynym sposobem była nauka przez praktykę.

–Rozumiem. Życzę więc Jej Wysokości szybkiego powrotu do zdrowia. Tymczasem... – Rita spojrzała w stronę okna wychodzącego na pozostałą część Tower. Pewność siebie, którą do tej pory udawało jej się zachować, zaczynała ją nieco opuszczać.

Strafford być może wyczuł jej skrępowanie i gładko interweniował.

–Wasza służba, rzecz jasna, może swobodnie przemieszczać się po Tower, żeby dostarczać wam, czego tylko będziecie potrzebowali. – Obrzucił Darryla sceptycznym spojrzeniem, lecz na tym poprzestał. – Nie będą jednak mogli opuszczać samej Tower. I obawiam się, że muszę prosić ciebie, Lady Stearns, a także twojego małżonka i... hm...

Spoglądał na Melissę. Podobnie jak Rita, ona również nie potrafiła się zmusić do tego, by założyć bogate szaty typowe dla arystokratek w tamtych czasach. Jednak – również podobnie jak Rita – odziana była w strój znacznie okazalszy niż państwo Bruchowie, Darryl albo Gayle.

–Melissa Mailey – oznajmiła.

Strafford zmarszczył lekko czoło, jak gdyby szperał w pamięci. Melissa zdziwiła się, widząc, jak błyskawicznie się wygładziło.

–Naturalnie. Jesteś, pani, członkinią... Cóż to była za nazwa?... A tak, „gabinetu” waszego rządu, jak mniemam. – Skłonił się uprzejmie, pozdrawiając ją. – Zatem i panią także. Prosimy, byście zechcieli nie opuszczać kwater.

Rita nie była chyba w stanie wymyślić odpowiednich słów, żeby wyrazić sprzeciw. Melissa również – z tej prostej przyczyny, że doznała czegoś na kształt szoku.

Nie z uwagi na ograniczenie swobody, bo tego się spodziewała – tak standardowo postępowano ze wszystkimi ważnymi „gośćmi” w Tower. Zaszokowało ją to, że Strafford wiedział, kim ona jest.

„Dobry Boże, przecież ten człowiek musi być w Londynie od niedawna. I już tyle o nas wie?”.

Z właściwą sobie uprzejmością Strafford kontynuował.

–Ograniczenie to wprowadzono tylko i wyłącznie dla waszego bezpieczeństwa i ufam, że to rozumiecie. – Odwrócił głowę i spojrział gniewnie na rzekę widoczną przez okna od południowej strony. – Przykro mi to mówić, ale ostatnimi czasy królestwem targają pewne niepokoje. Nie wiadomo, jak wiele z nich mogło przedostać się do samej Tower, a kto wie, do czego byliby zdolni szaleńcy?

Wyprostował się nieco, a następnie uklonił. Gest ten – perfekcyjny jak wszystko, co robił – wyrażał równocześnie przeprosiny, serdeczność, mocne postanowienie i... „Zrobiłem, co do mnie należało, i wynoszę się stąd. *Adios, amigos* – i nawet nie próbujcie ze mną zadzierać”.

Kilka wymamrotanych słów uprzejmego pożegnania i już go nie było. Wyszedł chyba nieco szybciej, niż przyszedł, lecz wciąż tym samym pewnym i dostojnym krokiem.

Gdy już znalazł się poza zasięgiem słuchu, Melissa wypuściła z siebie powietrze i stłumiła przekleństwo.

Mniej więcej.

–Cholerny świat. Wentworth! Już go zrobili hrabią!

„Co za gówno”. – To jednak zachowała dla siebie, nauczona przez wiele lat pracy w szkole.

Wszyscy patrzyli na nią. Melissa odwróciła się do Gayle.

–Czy ktoś nas może usłyszeć?

Przysadzista kobieta pokręciła głową.

–Nie. Podczas gdy Darryl strugał twardego drewna przed wartownikami, ja wszystko sprawdziłam. Friedrich zresztą też. Nie ma miejsca na kryjówki i stanowiska nasłuchowe, a wartownicy na zewnątrz usłyszą nas chyba tylko wtedy, gdy zaczniemy się wydierać. Albo strzelać.

Melissa skinęła głową.

–W porządku. – Podeszła do pobliskiego fotela i klapnęła na niego. Był bardzo miękki i wygodny. – Chodźcie tutaj. Przedstawię wam sytuację na tyle, na ile sama jestem w stanie ją ogarnąć.

Gdy już zgromadzili się wokół niej – Rita i Tom przycupnęli na małej sofie, reszta stała – Melissa wskazała palcem na drzwi, przez które wyszedł Wentworth.

–To jest prawdopodobnie najbardziej niebezpieczny człowiek w Anglii. Przynajmniej dla nas. Sir Thomas Wentworth, który później został hrabią Strafford. Tylko że w naszym świecie król nie mianował go hrabią, zanim... – Szukała w pamięci. – Nie mogę sobie przypomnieć dokładnej daty, ale to na pewno nie było już w 1633 roku. W tej chwili on powinien być w trakcie podróży do Irlandii jako świeżo mianowany lord namiestnik wyspy.

Darryl McCarthy wreszcie skojarzył to nazwisko. Melissa zastanawiała się, kiedy to nastąpi. Pomimo że Darryl przejawiał typową dla chłopaka z appalachijskiej klasy robotniczej obojętność na historię, dla jednego zagadnienia robił wyjątek. Ojciec Darryla, Michael, od dawna był zwolennikiem Komitetu Wsparcia dla Irlandczyków z Północy⁸, a cały klan McCarthy'ch składał się z zacieklej irlandzko-amerykańskich nacjonalistów.

–Czarny Tom Tyran! – warknął. – Pieprzony drań! To on zabił powstańców z dziewięćdziesiątego ósmego!

Melissa westchnęła. Jak zwykle wszystko mu się poplątało. Do tej pory pamiętała odpowiedź Darryla na jednym z testów sprzed wielu lat: „Jerzy III, pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych”.

–Darryl, on ma czterdzieści lat! – rzuciła ze zniecierpliwieniem. – Wobec tego „zabijał powstańców z dziewięćdziesiątego ósmego” jako pięciolatek – przyjmując oczywiście, że mówimy o ludziach z roku tysiąc *pięćset* dziewięćdziesiątego ósmego, a nie z 1798, kiedy to właśnie miało miejsce powstanie. Pomyliłeś się o blisko dwa stulecia.

Darryl był wściekły. Nie z powodu nagany – to po nim spłynęło, zresztą jak zawsze; była to wściekłość człowieka, który wie swoje, do jasnej cholery, i nie mieszać mu jakimiś faktami.

Melissa potarła twarz, przypominając sobie, że obecnie jest dyplomatką, a nie nauczycielką w szkole. Uzupełnianie wiedzy historycznej Darryla nie miało żadnego sensu. Nieważne, z jakiego powodu ów młodzieniec nienawidził Strafforda, wystarczyło, że go nienawidził. Nie miała jeszcze żadnej pewności, ale wszystko wskazywało na to, że Anglia jest dla nich stracona. Przybyła tu po pokój – może nawet po sojusz – lecz skoro Strafford został już hrabią, a sytuacja wygląda tak, jak wygląda...

–Jest mniej więcej tak: Wentworth zawsze był zdecydowanie najlepszym doradcą i urzędnikiem, jakiego miał król Karol. Tylko że w świecie, z którego przybyliśmy, Karol niespecjalnie się nim przejmował. Z grubsza dlatego, że Wentworth był zbyt bystry, zbyt kompetentny i zbyt skuteczny.

–Nie ufał mu? – burknął Tom.

Melissa pokręciła przecząco głową.

–Nie, tu chodziło o coś innego. Wentworth – Strafford – był lojalny aż do szpiku kości. Kiedy wreszcie nadszedł ten czas... Zaraz, kiedy to było? Wydaje mi się, że jakoś koło 1641 roku, mogę się mylić o rok. Kiedy wreszcie nadszedł ten czas, że angielska rewolucja zażądała głowy Strafforda, król Karol oddał go w ich ręce – mimo

że poprzysiągł Straffordowi, że będzie go wspierał niezależnie od wszystkiego.

Melissa, w przeciwieństwie do Darryla, widziała w historii także szarości. Bohaterowie rzadko kiedy byli po prostu bohaterami, a łajdacy nie zawsze byli łajdakami. Strafford, tak samo jak Richelieu – a nawet tak jak Wallenstein – był skomplikowanym człowiekiem. Właściwie nie dało się go nie podziwiać, niezależnie od tego, jak wielką czuło się nienawiść do tego wszystkiego, co sobą reprezentował w tym czasie i miejscu.

–Tak naprawdę Strafford to facet godny szacunku – powiedziała cicho. – Wysłał, a właściwie wysłałby, w tamtym świecie list do króla, zwalniający go ze złożonego ślubu. I wszyscy twierdzili – nawet jego wrogowie – że poszedł na śmierć z wielką odwagą i godnością, i nawet nie powiedział ani słowa skargi na swego...

Dyplomacja nie była już konieczna.

–Swego bezwartościowego, zdradzieckiego, bezużytecznego, nieudolnego, nieodpowiedzialnego i gównianego króla.

„No! Od razu lepiej”.

Darryl wyszczerzył zęby, słysząc, jak niecenzuralnie się wyraziła.

–Pani profesor!

Wszyscy w pomieszczeniu roześmiali się. Melissa też się uśmiechnęła.

–Król Karol I był – jest – jednym z najgłupszych królów, jakimi Anglia kiedykolwiek była obarczona. Hm... „Głupi” nie jest najodpowiedniejszym słowem. W jego przypadku to brzmi wręcz jak komplement. Był – jest – chyba wystarczająco bystry. Więc nawet nie ma tej wymówki. Ma jednak temperament dziecka. Obraża się, grymasi, chce mieć i rybki, i akwarium. Przez lata zaniedbywał swą katolicką żonę z Francji na rzecz zauroczenia ulubionym dworzanie, księciem Buckingham, który był jeszcze większym dupkiem niż on sam. Buckingham zamordowano w 1628 roku. To też miało miejsce w tym świecie, bo nastąpiło przed Ognistym Kręgiem. Od tamtej pory nie widzi świata poza żoną. A Henrieta Maria to kolejny bałwan w rodzie królewskim. Jest siostrą Ludwika XIII i w dużej mierze ulepiono ją z tej samej gliny, co brata. Gdyby Richelieu nie władał Francją zamiast Ludwika – ten przynajmniej ma tyle rozumu, żeby dostrzec prawdziwy talent – kraj byłby w oplakanym stanie.

Tom zarechotał.

–Czy w tych czasach w ogóle są jacyś władcy, którzy potrafią sami zasznurować sobie buty? Pomijając oczywiście Gustawa Adolfa.

–Tak się składa, że jest kilku. Duński król Chrystian jest monarchą naprawdę godnym podziwu. Jego największy problem polega na tym, że zawsze porywa się z motyką na słońce. Ale jest kompetentny, co do tego nie ma wątpliwości – nawet jeśli przez większość czasu jest pijany. A chociaż o obecnych władcach hiszpańskich i austriackich nie za bardzo można powiedzieć cokolwiek dobrego, to już o ich młodszych krewnych jak najbardziej. Don Fernando z Hiszpanii – chyba już nazywają go kardynałem-infantem – niedługo zacznie swą niesamowitą karierę wojskową. Tyle w kwestii hiszpańskich Habsburgów. W austriackiej linii rodu syn cesarza Ferdynanda, król Węgier, lada dzień się usamodzielni.

Zakręciła palcami młynka, starając się zilustrować pogmatwaną strukturę czasoprzestrzeni.

–W świecie, który był – który byłby... cholera, który pewnie gdzieś jest – kardynał-infant i król Węgier dowodziliby wojskami Habsburgów, które pobiły Szwedów pod Nordlingen w 1634 roku. Rzecz jasna – dodała na pocieszenie – nie musieli stawiać czoła Gustawowi Adolfowi, bo on zginął pod Lützen.

Tom Simpson przynajmniej znał historię wojskowości.

–To byłby listopad zeszłego roku. – Jego masywną pierś wstrząsnął śmiech. – Jednak nie w tym świecie. Dostyc skutecznie pokrzyżowaliśmy im plany pod Alte Feste.

Rita uciszyła go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

–Mów dalej, Melissa.

–Sytuacja wygląda następująco. Powodem, dla którego Karol nie przepadał za Wentworthem – a królowa Henrieta Maria jeszcze bardziej go nie znosiła – było to, że ten człowiek go zdręczał. „Zrób to, zrób tamto”. Sam fakt, że bezsprzecznie był lojalny i że jego rady zasadniczo były dobre, nie miał dla Karola żadnego znaczenia. Wentworth po prostu go męczył i tyle. Odciągał go – a przynajmniej próbował – od jego ukochanych balów maskowych i pochlebstw wazeliniańskich dworzan, którzy nieustannie otaczali królewską parę.

–Hrabia Strafford! – parsknęła. – Wentworth nie wywodzi się z arystokracji, tylko z rodziny ziemiańskiej. Tak jak każdy zdolny i ambitny człowiek w tamtych czasach – w tych czasach – pragnął zaszczytów i uznania. Przez lata, przez ciężkie lata, kiedy służył królowi dobrze, a wręcz świetnie, prosił Karola, by ten mianował go hrabią. A Karol naturalnie – Boże, cóż to był... jest... za żaloszny człowiek – nagradzał go obojętnością. Obsypywał hrabiostwami wszystkich dworskich matołów, którzy zyskali sobie przychylność jego bądź Henriety Marii, lecz dla Wentwortha nic nie miał. Nic pozakolejnym zadaniem. Dopiero pod sam koniec, kiedy Anglia zaczęła mu

się już wymykać z rąk, Karol uczynił wreszcie Wentwortha hrabią Strafford. To się powinno wydarzyć dopiero za kilka lat. W tej chwili Wentworth powinien właśnie dotrzeć do Irlandii i spędzić tam całe lata, nadając jej kształt odpowiadający Anglikom.

Darryl skrzywił się, ale na szczęście milczał.

–Widzicie już, do czego zmierzam? – Jeszcze raz wskazała na drzwi wejściowe. – W tym czasie i miejscu Karol już mianował go hrabią Strafford. A mogę was zapewnić, że nie dlatego, że teraz jest mniejszym idiotą. Więc jaki z tego wniosek?

–Oni wiedzą, co się wydarzy – powiedział od razu Tom. – Oczywiście byliśmy już tego świadomi – przecież Rebeka odkryła, że doktor Harvey9 skopiował pewne strony z książki do historii, na którą się natknął, odwiedzając Grantville. Ale wiedzieć o czymś, a przekonać się o czymś to dwie zupełnie różne rzeczy.

Wstał i podszedł do okna, z którego widać było ulicę między Wieżą Świętego Tomasza a wewnętrznym murem londyńskiej Tower.

–Będzie z tego jedno wielkie gówno, prawda? To właśnie chcesz nam powiedzieć.

–Cóż, tak bym tego nie ujęła – powiedziała sztywno, lecz śmiech, który zagrzmiął w komnacie, przypomniał jej, że kilka minut temu sama użyła tego słowa. Uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem i mówiła dalej.

–Ale owszem, do tego się to sprowadza. Karol bez wątpienia już wie, że zbliża się rewolucja i że według „historycznego porządku” idzie na ścięcie. Jak mówił Samuel Johnson: „Proszę mi wierzyć, drogi panie, kiedy człowiek wie, że zawiśnie za dwa tygodnie, to zdumiewająco poprawia mu się koncentracja”. Nawet Karol nie jest na tyle niepoważny, żeby pozwolić, by jego błahe rozdrażnienie Wentworthem przeszkodziło mu w zachowaniu życia i władzy. Najwyraźniej więc sprowadził go z powrotem z Irlandii i w jego wielce sprawne ręce przekazał zadanie stłumienia rewolucji, zanim jeszcze się rozpoczęła.

Wskazała na okno wychodzące na Tamizę.

–Wszyscy zauważyliśmy, że żegluga na La Manche odbywa się w dziwny sposób.

Skinęła głową w stronę Brucha.

–Ściśle biorąc, Friedrich nam to powiedział. – W minionych latach Friedrich służył na jednym ze statków Hanzy. – A jaki kiedyś był ruch na Tamizie. Pamiętajcie, że w tych czasach większość tak zwanych „okrętów wojennych” to po prostu uzbrojone statki kupieckie. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że Anglicy szykują się do jakiejś wyprawy morskiej.

–Po co? – zapytała Rita z twarzą wykrzywioną grymasem. – Wydawało mi się, że skoro Karol obawia się rewolucji tutaj, to właśnie na tym się skupi. Nie na zabawie w wyprawy wojenne.

–Sama już nie wiem, Rita. Jednak... – Melissa starała się znaleźć szybki i prosty sposób przedstawienia wszystkich zawiłości.

–Słuchajcie, już od miesiący słyszemy o nowej wyprawie Hiszpanów na Holandię. I o reakcji Francuzów. Powiedzmy, że Anglicy w tym momencie też nie przepadają jakoś specjalnie za Holendrami. W naszej historii Karol i jego dwór woleli Hiszpanów od Holendrów, niezależnie od tego, że szczylicili się zwycięstwem nad Armadą. Oczywiście Hiszpania wysłałaby drugą Armadę dopiero za kilka lat w naszej historii, więc sam fakt, że planują ją już teraz, świadczy o tym, że poświęcili nieco czasu na zgłębianie przyszłości.

–Zmierzam jednak do tego, że chociaż wówczas „oficjalna Anglia” preferowała Hiszpanię, Karol absolutnie by Hiszpanom nie pomógł. Niezależnie od tego, jak bardzo nie trawił Holendrów, zdawał sobie sprawę, że łączy ich wspólnota interesów. Wiedział też, że polityka Richelieu zawsze ukierunkowana była na zniszczenie potęgi Habsburgów, więc gdyby sprzymierzył się z Hiszpanami przeciwko Holendrom, stałby się też wrogiem Francji. Dlatego właśnie w naszej przeszłości nie opowiedział się po żadnej ze stron w tym konflikcie.

–Teraz jednak przygotowuje wyprawę morską, co wskazuje na to, że tym razem nie zamierza siedzieć i się przyglądać. Nie uwierzę, że otwarcie poprze Hiszpanię – mając świadomość, że Richelieu by się wściekł, a już na pewno nie w świetle tego, że Hiszpanie nie są w stanie zaoferować mu niczego takiego, co byłoby warte zachodu. Ale skoro nie Hiszpania, to zamiast tego musi planować przymierze z Holendrami, a to też kompletnie nie ma sensu. Chyba że Richelieu jest w to jakoś zamieszany.

–Ale czemu miałyby chcieć pomóc Richelieu? – zapytała Rita, marszcząc brwi.

–Wszystko ostatecznie sprowadza się do pieniędzy – odparła Melissa. – Karol już od lat nie zwoływał parlamentu – ostatni z roku 1628 doprowadził go do białej gorączki. A bez parlamentu ma dosyć ograniczone możliwości zbierania funduszy. To zawsze utrudniało życie angielskim monarchom. Właśnie dlatego Anglia ma znacznie mniejszą armię niż inne państwa w tych czasach. Bez uzyskania zgody parlamentu Korona nie dysponuje funduszami na wojnę. A ostatnią rzeczą, jaką Karol zrobi, będzie zwołanie nowego parlamentu. Poprzedni stał się siedliskiem purytańskich odszczepieńców.

Tom wybiegał już myślami naprzód, co nie było dla niej zaskoczeniem. Może i ten olbrzymi żołnierz nie ma temperamentu ojca, ale z całą pewnością odziedziczył jego intelekt.

–Potrzebne mu są pieniądze, żeby zdławić rewolucję, więc ściąga je z zagranicy. Czemu nie Francja? W końcu jego żona jest siostrą króla Francji. Niezależnie od tego, skąd je weźmie, będzie musiał za to zapłacić. No, na przykład wspierając działania wojenne kogoś innego – choćby starania Richelieu o powstrzymanie hiszpańskich Habsburgów przed odzyskaniem kontroli nad Holandią.

Odsunął się od okna i spojrzał na Melissę.

–To chyba ma sens. Wydaje się jednak nieco zbyt skomplikowane – w końcu to myślenie przyszłościowe – na tak durnego króla, jakim jest, jak twierdzisz, Karol.

–Zgadza się. Ale Wentworth jest w stanie myśleć przyszłościowo. Poza tym, jak już wspominałam, mianowano go hrabią Strafford...

–Dużo przed terminem – zakończył Tom i odwrócił się z powrotem w stronę okna. Chwilę później jakby zeszywniał.

–Mamy tu coś jeszcze. – Wskazał palcem na ulicę poniżej. – Nie wiem, o co chodzi, Melissa, ale ciągną tu nowego lokatora. A patrząc na łańcuchy, którymi go obwiązali, nie wygląda na to, żeby oczekiwały go równie „królewskie warunki”.

Melissa zerwała się i podeszła do okna. Zobaczyła jakiegoś prowadzonego siłą mężczyznę. Dwóch strażników unieruchamiało mu ręce, a kilku innych maszerowało z przodu i z tyłu. Te środki bezpieczeństwa wydawały się nieco absurdalne. Jak mówił Tom, mężczyzna miał nadgarstki i kostki spętane łańcuchami, a te z kolei przymocowane były do ciężkiego skózanego pasa.

Na chwilę – być może kątem oka dostrzegł poruszenie w oknie – mężczyzna podniósł wzrok i spojrzał na nią. Na jego twarzy malował się absolutny spokój. Była to twarz człowieka, który zdecydował się pozostawić wszystko własnemu losowi. „Niech się dzieje, co chce, taka jest wola Boga. Jestem, kim jestem”.

Następnie odwrócił się i pokazał jej swój profil.

–Jezus Maria – wyszeptała. Był oczywiście młodszy, rozpoznała go jednak bez większych problemów. Ta sama twarz widniała na portretach w każdej książce w Grantville, która omawiała angielską rewolucję 1640 roku.

Darryl już był przy innym oknie i niemal równie szybko jak ona rozpoznał mężczyznę.

–Sukinsyn! – warknął. Następnie wydarł się, prawie przebijając grubą szybę: – Mam nadzieję, że cię wypatroszą i poćwiartują, ty zawszony...

Melissa odskoczyła od swojego okna.

–Mam już tego dosyć, młody człowieku!

To był Ten Głos. Stara jędra naprawdę się wkurzyła. Darryl natychmiast zamilkł, tak jak to bywało w poprzednich latach. Nawet nieco się skulił.

Spojrzała na niego z wściekłością. Następnie popatrzyła na Toma i wskazała McCarthy’ego palcem.

–Masz pilnować, żeby twój podkomendny utrzymywał dyscyplinę. Zadbasz o to, żeby ten cham, ten kretyn, ten smarkaty...

Tom wyszczerzył zęby.

–Proszę się o to nie martwić.

Naprężył ramiona. Widać było, że nawet Darryl się wystraszył. Jeszcze bardziej się skulił.

Melissa uśmiechnęła się blado.

–Świetnie. – Posłała McCarthy’emu spojrzenie, które wróżyło mu na przyszłość równie dobrze, jak lata temu takie samo spojrzenie wróżyło mu w kwestii ocen i perspektyw.

–W tej chwili nie mam czasu na lekcję historii, młody człowieku. Czeka nas dużo pracy. A ty będziesz mnie słuchał.

Darryl przełknął ślinę. Pospiesznie kiwnął głową.

–Wspaniale. – Odwróciła się do Friedricha i Nelly. Podobnie jak reszta grupy, państwo Bruchowie stali przy jednym z okien wychodzących na ulicę. – Wam będzie łatwiej poruszać się niż nam, a poza tym nie macie tak dziwnego akcentu jak Gayle. Będziecie więc naszymi szpiegami.

Wyjrzała przez okno. Człowieka pod strażą przeprowadzano właśnie przez drzwi. Drzwi, którym brakowało tylko tabliczki: „Tędy do lochów!”.

–Dacie radę go rozpoznać? – Bruchowie przytaknęli.

–Spróbujcie się dowiedzieć, dokąd dokładnie go zabrali i, jeśli będzie taka możliwość, co zamierzają z nim zrobić.

Nelly otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz Melissa ciągnęła dalej.

–Tom – i ty też, Darryl – musimy zacząć planować ucieczkę. Nie ma pośpiechu i mam nadzieję, że w ogóle nie będzie takiej potrzeby. Ale w razie czego będziemy

gotowi.

To natychmiast przywróciło Darrylowi jego charakterystyczną niefrasobliwość. Podczas gdy Tom zaczął uważnie sprawdzać pomieszczenia i rozważać różne możliwości, Darryl otworzył jeden z olbrzymich kufrów, które przywieźli. Przekopanie się przez masę ubrań zajęło mu raptem kilka sekund i już po chwili zaczął wydobywać schowane pod spodem przedmioty. Mimo że Melissa była temu przeciwna, Mike Stearns nalegał, żeby zabrali je ze sobą. „Na wszelki wypadek” – powiedział.

–Nie mogę uwierzyć, że byli tak głupi, żeby nas nie przeszukać – rzekł z radością Darryl. *Łup, łup*. Dwa pistolety automatyczne zmaterializowały się na stoliku obok niego. *Łup*. Pudełko amunicji.

–To by było wielce niedyplomatyczne – odparła Melissa. – Byłam niemal pewna, że tego nie zrobią.

Łup, łup, łup. Trzy laski dynamitu. *Brzdęk*. Melissa rozpoznała spłonki.

Bach. Wydawało jej się, że mówili na to „lont detonujący”. Oczywiście nie miała pewności – nie wiedziała zbyt wiele o ładunkach wybuchowych, z wyjątkiem prymitywnych bomb zapalających, które majstrował na strychu jej chłopak anarchista w szalonych i jakże odległych latach sześćdziesiątych. Nie była z nim jednak długo. Nawet jako młody radykał krzywiła się na widok przemocy.

ŁUP. To był akumulator. Mogła się domyślić jego przeznaczenia.

Westchnęła na wspomnienie tamtych niewinnych dni.

–Poza tym – dodała – w tych czasach ludzie uważają broń palną za wielką i toporną rzecz, którą przeładowuje się całe wieki.

–Właśnie – skomentował z uśmiechem Darryl. – Na pewno znajdziemy kupę miejsc, w których da się upchnąć te maciupęńkie, tycie-tyciutki Smithy i Wessony. – Zerknął w górę na jedną z ciężkich półek na ścianie. – A dynamit to pestka. Rozsmarujemy nieco kurzu i schowamy razem z resztą świeczek. Tak jak kiedyś z Harrym...

Urwał i z miną winowajcy rzucił okiem na Melissę, po czym zabrał się za coś cięższego na dnie kufra. Sapnął ciężko i:

BUCH.

–Jezu, Darryl! – zachichotała Rita. – Nie będziemy zdobywać żadnych szczytów.

Darryl pokręcił stanowczo głową.

–Liny nigdy za wiele. A poza tym to jest nylon. Starczy nam na pewno – ha! Pamiętam, jak raz z Harrym prawie daliśmy się złapać, gdy...

Ponownie uciekł przed wzrokiem Melissy i powrócił do grzebania w kufrze.

–Zresztą nieważne. Cholera jasna, gdzie są bomby dymne?

Melissa nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

„Przynajmniej tym razem ten drań jest po mojej stronie. Mam nadzieję”.

Podeszła do niej Nelly.

–Wybacz, chyba ci wcześniej przerwałam. Chciałaś mnie o coś zapytać?

Nelly skinęła głową, a po chwili jeszcze raz, ale w kierunku odległych drzwi, przez które wprowadzili więźnia.

–Kto to był?

Zanim Melissa zdążyła odpowiedzieć, wyręczył ją Darryl.

–Oliver Cromwell. Śmierdzący skurwiel, żeby się w piekle smażył. – Powiedział to jednak cicho i nie patrząc na Melissę, a równocześnie cały czas grzebał w kufrze. Nie mógł oczywiście nie dorzucić: – Rzeźnik z Irlandii. Tyran... – Reszta była tylko niezrozumiałym pomrukiem.

Melissa zacisnęła wargi.

–Może kiedyś, Darrylu McCarthy, wyjaśnię ci – a może raczej spróbuję ci wyjaśnić – złożoność tego zagadnienia. Jednak w tym momencie...

Omiotła pomieszczenie wzrokiem, spoglądając na wszystkich.

–W tym momencie sprawa przedstawia się tak. W obecnych czasach tamten człowiek jest zwyczajnym ziemianinem. Mężczyzną po trzydziestce, mało znanym członkiem parlamentu. Jednak w swych okolicach – w hrabstwie East Anglia, koło Cambridge – jest dosyć popularny.

Posłała Darrylowi surowe spojrzenie.

–Wołają na niego „Pan na Bagnach”. A to dlatego, że już od kilku lat jest przywódcą biednych rolników z East Anglii, którzy próbują sprzeciwić się naruszeniu ich ziem przez bogatych sąsiadów.

Ramiona Darryla drgnęły i nagle nad kufrem pojawiła się jego głowa. Posłał Melissie zdumione spojrzenie.

–Nie wiedziałem o tym.

Melissa omal się nie roześmiała. Niezależnie od swych irlandzko-amerykańskich poglądów na różne kwestie, Darryl był zagorzałym związkowcem. Tak jak reszta członków Amerykańskiego Stowarzyszenia Górników, miał zwyczaj dzielić świat na dwie proste kategorie: ciężko pracujący facet – dobry, bogaty kanciarz – zły. A teraz znalazł się w potrzasku jednej z rozlicznych sprzeczności historycznych.

–Jest bardzo wiele rzeczy, których nie wiesz, młody człowieku – ucięła. – W minionych latach chyba dosyć często ci to mówiłam.

Tom zakończył lekcję historii na ten dzień.

–Ja też o tym nie wiedziałem. Wiem jednak, kim stał się później. – Wydawał się nie mieć tak mieszanych uczuć jak Darryl. Mimo że był potomkiem rodziny, której korzenie wywodziły się z angielskiej arystokracji, raczej nie mógł przychylnie zareagować na nazwisko Oliver Cromwell.

–„Stary Ironsides10” – powiedział, najwyraźniej delektując się tymi słowami. – We własnej osobie, Boże święty. Twórca Armii Nowego Wzoru, która obaliła angielską Koronę. Obok Gustawa Adolfa i może tego młodego Turenne’a, który dopiero rozkręca się we Francji, najlepszy generał tych czasów. I wreszcie lord protektor Anglii.

Uśmiechnął się szeroko do kucającego McCarthy’ego.

–To oczywiście nieco później. Po tym, jak już oddzielił głowę Karola od reszty ciała. A z tego, co słyszę, nie była to wielka strata.

Darryl podniósł na niego wzrok. Pomijając historię Irlandii, całą pozostałą wiedzę Darryla można by z łatwością zmieścić na łepku od szpilki.

–Nie wiedziałem o tym.

–Aha – oznajmił radośnie Tom. Uderzył kantem jednej dłoni w wewnętrzną stronę drugiej. – Ciach. Ściął frajera, ot tak. Oliver Cromwell. Kawał twardziela, nawet jak na

nasze standardy.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-01-05

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/